№ 28 Warszawa, dnia 28 Czerwca (10 Lipca) roku 1880.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi w LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5. na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

ANNA DE KERVILER.

DRAMAT W JEDNYM AKCIE

przez

Ernesta Legouvé, Członka Akademii francuzkiej.

Przedstawiony pierwszy raz w Teatrze Francuzkim 1 listopada 1879 r.

przekład **J. Belejowskiej.**

OSOBY:

Hrabia de Kerviler
Elizeusz Moréac
Lambert, podoficer armii republikańskiej
Ogrodnik
Żołnierz
Anna, żona hrabiego Kerviler.

Rzecz dzieje się w Bressuire.

Salon. Drzwi w głębi. Na prawo szerokie okno wychodzące na ogród, na lewo drzwi do dalszych pokoi. Na prawo, na pierwszym planie, drzwi boczne, wychodzące na taras, na lewo; naprzeciwko drzwi ukryte pod obiciem. Na lewo, na scenie stół, z prawej jego strony fotel, z lewej krzesło. Za podniesieniem kurtyny, ogrodnik stojąc przy stole czyta jakiś papier drukowany, widocznie przejmujący go obawą, poczem kładzie go na stole i zbliża się do okna, z miną człowieka upatrującego czegoś. Wchodzi Moréac.

Scena pierwsza.

Moréac, Ogrodnik.

Ogrodnik (podchodząc do Moréac'a). I cóż, panie?

Moréac. Już nie grozi mu niebezpieczenstwo.

Ogrodnik. Więc ukryłeś go pan w bezpiecznem miejscu?

Moréac. Tak, bądź spokojny.

Ogrodnik. Czy tu, w domu?

Moréac. Tak.

Ogrodnik. Gdzież?

Moréac. Tam gdzie go pewnie nie znajdą byle zachował się spokojnie. Czy nie widziałeś żołnierzy czatujących w koło domu?

Ogrodnik. Nie.

Moréac. I nikt nie wszedł do ogrodu?

Ogrodnik. Nikt a nikt.

Moréac. Oddycham. Dopiero trzecia, mgła taka gęsta i noc wcześnie zapada, będę więc mógł wyprowadzić go niepostrzeżenie. A! żeby tylko nie popełnił jakiej niedorzeczności, z obawy aby nas nie narazić.

Ogrodnik. Jakto, czego się pan lękasz?

Moréac. Dwa miesiące temu, gdy republikanie zdobyli to miasto, które dziś z kolei oblegają nasi Wandejczykowie, ranny, prawie umierający przyniesiony tu zostałem, i dla tego hrabina de Kerviler nie mogła towarzyszyć mężowi.

Ogrodnik. Pamiętasz to dobrze.

Moréac. W przeddzień szturmu w którym mógłby poledz na placu boju, hrabia chciał koniecznie zobaczyć się z żoną, i wczoraj gdy noc zapadła, opuścił obóz oblegających, przekradł się w pośród placówek nieprzyjacielskich, i jak wiesz przybył tu nade dniem.

Ogrodnik. To przybycie jego niemałego nabawiło mnie strachu... ale i pan bardzo byłeś przestraszony, wyglądałeś jakby piorunem rażony.

Moréac. Pomyślałem o grożącem mu niebezpieczeństwie, choć w pierwszej chwili nie pojmowałem całej jego doniosłości. Przed chwilą właśnie, gdy ukrywszy hrabiego miałem już odejść, posłyszał jakąś głośno czytaną na ulicy proklamacyą i chciał natychmiast dom ten i schronienie swoje opuścić; za trzymałem go gwałtem i drzwi zamknąłem.

Ogrodnik (zbliża się do stołu, bierze papier i podaje mu). A! rozumiem, oto jest owa proklamacya.

Moréac (czytając). „Nantes, 4 vendemiera 3-go roku. Reprezentant ludu, delegowany Konwencyi, jenerałowi dowódzcy garnizonu w Bresuire, pozdrowienie. Trzy miesiące temu, w przeciągu dwóch dni zdobyliście i odebrali Bressuire royalistom, to dobrze... Ale powrócili z większemi siłami i trzymają was w oblężeniu już od dwudziestu dni, to już nadto!... Jedynie tylko zbrodnicze knowania i zmowy mieszkańców z wojskiem nieprzyjacielskiem, umożliwiają tak długie oblężenie, trzeba raz temu położyć koniec! Każdy przekradający się do miasta royalista i każdy mieszkaniec utrzymujący jakiekolwiek stosunki z nieprzyjacielem, ma być rozstrzelany. Podpisano: Carrier." Ach! teraz rozumiem hrabia obawiał się narazić nas na niebezpieczeństwo ale na szczęście wrogowie nasi nie wiedzą o niczem i mam czas ukończyć ostatnie przygotowania. (Przysuwa się do stołu i zabiera do pisania). Tu blizko, na rogu ulicy, mieszka sędziwy kapłan. któremu pozwolono pozostać w mieście z powodu zbyt podeszłego wieku, oddasz mu ten list nadmieniając, że proszę go i zaklinam aby przyszedł natychmiast.

Ogrodnik. Dobrze, będę go prosić w imieniu pani hrabiny.

Moréac. Nie! proś go ode mnie... (zadziwienie ogrodnika). Dziwisz się? (wstając) a wszak to rzecz prosta. Bardzo być może iż wyprowadziwszy hrabiego aby razem z nim dostać się do naszego obozu, zostanę zabity, a żaden Wandejczyk nie idzie na śmierć nie pojednawszy się z Bogiem.

Ogrodnik. O! masz pan słuszność... bodaj to nasza stara bretońska pobożność i silna wiara!

Moréac (z mocą). A! czemże bylibyśmy bez niej!... ona to jest naszą siłą... i usprawiedliwieniem!

Ogrodnik. O! my Bretończycy nie jesteśmy takiemi pohańcami jak ci republikanie, co nie wierzą ani w Boga ani w dyabła.

Moréac. Nie odsądzaj ich od czci i wiary... I oni mają swoją religią... a tą jest ojczyzna, i oni umie-

rają dla niej jak my za wiarę i króla... Jeźli my mamy męczenników, oni mają bohaterów! Och! straszna, straszna jest ta wojna! tyle wielkich cnót rancuzkich ginie marnie, aby szarpać łono Francyi! Wraca do stołu, składa i oddaje list). Oto masz list.

Ogrodnik (zbliża się do okna wychodzącego na ogród). Panie! panie!

Moréac. Co takiego?

Ogrodnik. Trzech żołnierzy weszło przez bramę ogrodową.

Moréac (przybliżywszy się do okna). Rzeczywiście.

Ogrodnik (patrząc razem). Dowodzi nimi komisarz okręgowy, sierżant Lambert.

Moréac. Ten człowieczyna z taką dobroduszną miną?

Ogrodnik. Pozór łudzi, proszę pana, straszny-to człowiek choć się wydaje tak dobroduszny.

Moréac. Może mają podejrzenie: nie okazuj najmniejszej obawy, odpowiadaj jakbyś nie wiedział o niczem. (Zwraca się ku drzwiom któremi wszedł).

Ogrodnik. Odchodzisz pan?

Moréac. Idę tylko uprzedzić hrabiego.

Ogrodnik (z przestrachem). Ale bo w proklamacyi jest powiedziane: „Każdy mieszkaniec który...

Moréac. Nie obawiaj się, wracam natychmiast, ztamtąd słuchać będę i gdyby groziło ci jakie niebezpieczeństwo... (Słachać odgłos kolb).

Ogrodnik. Już nadchodzą.

Moréac (wychodząc). Bądź spokojny, wracam zaraz.

(Znika za małemi drzwiczkami, w tejże chwili naprzeciwko otwierają się drzwi boczne i wchodzi sierżant).

Scena druga.

Ogrodnik, Lambert, Żołnierz.

Lambert (do żołnierza). Stań tu na tarasie. (Podchodzi na scenę i zwraca się do ogrodnika). Chodź tu!

Ogrodnik. Jestem panie sierżancie.

Lambert. Jesteś tu ogrodnikiem?

Ogrodnik. Tak panie sierżancie.

Lambert. Słuchaj. Dom ten leży w pobliżu Północnej bramy Bressuire, tej nocy przekradł się tu oficer nieprzyjacielski.

Ogrodnik. Ależ, panie sierżancie...

Lambert Jeden z naszych widział go wchodzącego tu; jest więc ukryty i musi nam być wydany. Powiedz gdzie jest albo gotuj się na śmierć.

Ogrodnik. Przysięgam panu...

Lambert. Wszak dom ten jest pod twoim dozorem od czasu jak zdobyliśmy miasto a państwo twoi uciekli jak ostatni tchórze?

Ogrodnik. Wynajęła go młoda pani...

Lambert. No, to idź przyprowadź tu tę twoją młodą panią, ale nie obiecuj sobie że potrafisz wywieść w pole patryotów. W tym domu pourządzano bardzo wiele kryjówek, ty musisz o nich wiedzieć... Tu niezawodnie ukrywa się ten rozbójnik oficer i jeźli twoja pani nie wyda go dobrowolnie...

Ogrodnik (wskazuje Annę wchodzącą drzwiami w głębi). Oto moja pani.

Lambert. Dobrze, pójdź precz!

(Ogrodnik wychodzi).

Scena trzecia.

Anna Lambert, (żołnierz stoi na straży przed progiem bocznych drzwi, tak aby go można widzieć).

Lambert. Zbliż się, obywatelko. Jestem podoficerem armii republikańskiej obowiązanym czuwać nad bezpieczeństwem tej dzielnicy. (Podaje jej papier) Czytaj obywatelko.

Anna (przeczytawszy). Cóż mnie to obchodzi?

Lambert. Czy tak? A gdzie jest Wandejczyk?

Anna (obojętnie). Co za Wandejczyk?

Lambert. Nie przybieraj miny niewiniątka, nie oszukasz nią patryotów. Dzisiejszej nocy wszedł do tego domu oficer, emisaryusz Wandejczyków... a po co przybył? Oto przekupić zdrajców aby za pieniądze wydali którąś z bram miasta. Wiemy z pewnością że tu jest, powiedz gdzie się ukrywa?

Anna (zimno). Jedno z dwojga: albo jest, albo go nie ma. Jeźli go nie ma, nie mogę, jeźli jest, nie chcę go wydać.

Lambert. Potrafimy cię zmusić.

Anna (j. w.). Jakim sposobem?

Lambert. Bardzo prostym... jeźli trwając w swoim uporze, nie powiesz...

Anna (j. w.). Każecie mnie rozstrzelać?... bardzo to do was podobne... Cóż wam znaczy jedno więcej morderstwo?... Ale nic na mnie nie wymożecie postrachem śmierci, stokroć lepiej umrzeć niż patrzyć na takie zbrodnie.

Lambert (z gniewem) Ach obywatelko!...

Anna. Szanuję i czczę rzeczpospolitą jeźli jej przywodzi Hoche, pogardzam i nienawidzę gdy jest pod kierunkiem Carrier'a, i nie wahaw się wyznać tego.

Lambert. No! no! jesteś odważna, obywatelko; dobrze, to lubię... Ale możesz przecie odpowiadać mi.

Anna (siadając na fotelu). Zależeć to będzie od tego o co pytać będziesz.

Lambert. Jak się nazywasz?

Anna. Anna de Kerviler.

Lambert (znacząco). De Kerviler?

Anna. Tak.

Lambert. Ach!... (po chwili milczenia). Czy to twój dom, obywatelko?

Anna. Nie.

Lambert. Więc cóż tu porabiasz?

Anna. Przybyłam z Morbihan.

Lambert. Aha! z kraju księży.

Anna. Z kraju w którym panuje szczera i gorąca wiara. Gdy wybuchła wojna...

Lambert. Powiedz raczej bunt...

Anna. Nie jest to buntem gdy ktoś powstaje w obronie swej wiary i swych ognisk domowych.

Lambert (wesoło). Doprawdy, obywatelko, wartaś być republikanką. Cóż dalej?

Anna. Gdy wojna wybuchła, mąż mój zorganizował batalion ochotników.

Lambert. Jesteś więc zamężną, a mąż twój to szlachcic, arystokrata?

Anna. Mąż mój nazywa się hrabia de Kerviler. Wieśniacy nasi kochali go i ufali mu; dwustu ich towarzyszyło nam z wioski w pobliżu Vannes, wraz z naszym proboszczem.

Lambert. A po cóż znów prowadziliście z sobą księdza?

Anna. Aby błogosławił idących do boju, pocieszał rannych, rozgrzeszał umierających.

Lambert. I cóż dalej?

Anna. Mąż mój walczył w obronie Bressuire.

Lambert. I pocóż zostałaś tu skorośmy go zdobyli?... co robisz sama jedna w tym domu, skoro, jak mówisz, męża twego tu nie ma?

Anna. Podczas pierwszego oblężenia w jednej z wycieczek batalion męża mego został otoczony przez waszych, zguba jego była niechybną, gdyby nie męztwo jednego z Wandejczyków, zarówno jak my pochodzącego z Bretanii, który przybiegł na pomoc towarzyszom broni, ocalił życie mego męża ale sam ciężko został raniony. Dom ten wynajęty był przez nas tu więc został przyniesiony, gdyż mąż mój uważał sobie za obowiązek czuwać nad swoim zbawcą. Rana była bardzo niebezpieczną i chory zaledwie zaczął odzyskiwać siły, gdyście zdobyli Bressuire; przezorność nie dozwalała go przenieść, wdzięczność opuścić—spełniliśmy więc swój obowiązek. Mąż mój udał się do armii konsystującej w Charette...

Lambert. Aby znów walczyć przeciw nam.

Anna (spokojnie). Tak jest; ja pozostałam przy rannym.

Lambert. Gdzież ten ranny, jak się nazywa?

Anna. Elizeusz Moréac.

Lambert. Czy jest tu?

Anna. W tym domu, nie ma go... czy jest w mieście nie wiem... Wyszedł ztąd dziś rano.

Lambert. To co mówisz, obywatelko, potwierdza w zupełności nasze doniesienia; zatem nie Moréac kryje się w tym domu, ale mąż twój i ująć go musimy... Jeźli nie wydasz go dobrowolnie, potrafimy go znaleźć, zobaczysz jakim sposobem. (Pisze coś na karteczce, i skinąwszy na stojącego na straży żołnierza, mówi) Zanieś to do komendanta.

(Żołnierz wychodzi zamknąwszy drzwi).

Scena czwarta.

Anna, Lambert.

Lambert (przysuwa się do Anny odkrywając głowę). Przepraszam panią najmocniej, że ciągle mówiłem jej ty.

Anna (zdumiona). Co to ma znaczyć?

Lambert. To że nie zawsze można ludzi sądzić z pozoru.

Anna. Więc któż pan jesteś?

Lambert (żywo). Nie bierz mnie pani za zdrajcę; jestem szczerym republikaninem i żołnierzem armii nadreńskiej. Z Moguncyi wysłano mnie do Wandei, musiałem być posłuszny, choć serce się krwawi że zamiast z Prusakami muszę bić się z Francuzami. Zgrozą przejęty że nie jenerałowie ale kaci nami dowodzą, przysiągłem sobie nigdy nie ścigać uciekających, nie wydawać ukrywających się i nie strzelać do bezbronnych.

Anna (z niedowierzaniem). Bardzo szlachetne powziąłeś pan postanowienie.

Lambert. Dodaj pani i bardzo niebezpieczne; gdyby ów żołnierz co stał tu na warcie powziął choć cień podejrzenia, oskarżyłby mnie z rozkoszą. (wesoło): A że bynajmniej nie życzę sobie być rozstrzelanym, więc wyrażam się jak oni i na pozór podzielam wściekłe ich namiętności, bo tym jedynie sposobem mogę dojść do zamierzonego celu. Tak więc nie zdradzam swoich, tylko bez ich upoważnienia służę ludzkości. Teraz wiesz pani kto jestem, powiedz więc gdzie mąż twój się ukrywa, a ja tak pokieruję poszukiwaniem żeby go nie znaleziono.

Anna (patrząc mu w oczy). Gdzież pewność że mnie pan nie oszukujesz?

Lambert. Spojrz pani na mnie, a wyczytasz z mej twarzy że jestem szczerym.

Anna. Ależ przed chwilą gdy mi tak wygrażałeś, wyraz twarzy twojej także zdawał się być zupełnie szczerym.

Lambert. Jakiż mógłbym mieć cel oszukiwać panią?

Anna (przechodząc na prawo). Jaki cel? Rozkosz jakiej doznają dzikie zwierzęta gdy pochwycą swą zdobycz.

Lambert. Za cierpko przemawiasz pani do uczciwego człowieka.

Anna. Pragnęłabym szczerze módz panu zaufać.

Lambert (niecierpliwie). Więc zaufaj mi pani i nie trać czasu, bo chwile są policzone: mąż pani będzie zgubiony, jeźli znajdą go nasi żołnierze.

Anna (z obawą). Ale jeźli mnie zdradzasz, jeźli zaufawszy zgubiłabym swego męża.

Lambert. Na miłość Boga czas upływa.

Anna (z niewysłowionym niepokojem). W żołnierskim zawodzie swoim może popełniłeś wiele okrucieństw, może przelałeś wiele krwi niewinnej... ale choćbyś najstraszniejszych dopuszczał się czynów, zbladłyby w obec tej zbrodni jakąbyś popełnił zmuszając żonę aby wydała ci własnego męża.

Lambert (z niecierpliwością). Jakże mogę przekonać panią? Słuchaj, mam żonę i troje dzieci... przybyły ze mną do Wandei... i wiesz pani co robi moja żona od czasu oblężenia?... Oto swoim i dzieci kawałkiem chleba dzieli się z czterema rannymi Bretończykami. Zajęła się ich leczeniem, sama nad nimi czuwała i doglądała, a widząc ich odwagę i wytrwałość, serca nasze ukochały Bretonię i przysięgliśmy sobie szanować i otaczać wspólczuciem warstwę społeczną co takich wydaje ludzi, przekonania co takie wytwarzają cnoty.

Anna (unosząc się). I ja postępowałam jak żona pana; ona była matką dla naszych Bretończyków ja byłam siostrą miłosierdzia dla waszych żołnierzy... Szukałam rannych pod gradem kul—choć niewielką miałam w tem zasługę, bo nie ich znaleźć tam pragnęłam...

Lambert. A cóż takiego, chyba śmierć?

Anna. Może.

Lambert. Cóż za powód?...

Anna. Powód!.. A! czyż nie pojmujesz tego, że niekiedy mogą odgrywać się w sercach dramata stokroć straszniejsze od tych, jakie mają miejsce na polu bitwy... Ale nie mówmy o tem... Czy zechcesz pan przysiądz mi... ale nie, nie żądam tego! Niewolno podejrzywać nikogo o tak potworną zbrodnię... byłbyś najnikczemniejszym nędznikiem gdybyś mnie oszukiwał. Wierzę ci; chodźmy!

(Chcą wychodzić, żołnierz wchodzi).

Lambert (do Anny). Milczenie! (Idzie do żołnierza).

Scena piąta.

Ciż, Żołnierz.

Lambert. Przynosisz odpowiedź komendanta, daj! (Czyta, potem mówi na stronie). Zgubiony! (głośno) Obywatelko, oto rozkaz zakończający nasz spór.

Anna. Cóż się w nim zawiera?

Lambert (czyta głośno). „Nie tracić czasu na szukanie royalisty! podpalić norę a sam z niej wyjdzie."

Anna. Pan tego nie uczynisz.

Lambert. Przeciwnie, spełnię wydany rozkaz.

Scena szósta.

Ciż, Moréac.

Anna (krzyknęła i biegnie do niego). Ach!

Moréac (cicho i prędko). Nic pani nie mów.

Lambert (mówi znów ostrym, surowym głosem). A! wiedziałem dobrze iż dom ten jest gniazdem arystokratów!... No, rozprawmy się krótko a węzłowato. (Zwracając się do Moréac'a) Przyznajesz się że jesteś hrabia de Kerviler?

Moréac. Tak.

Lambert. Mąż tej obywatelki?

Moréac. Tak.

Lambert. Że walczysz i bijesz się z patryotami?

Moréac. Tak.

Lambert. Że tajemnie przedarłeś się do miasta?

Moréac. Tak.

Lambert. Dość na tem.

Moréac. Wiem co mnie czeka i jestem na los mój przygotowany, o jedną tylko proszę łaskę.

Lambert. O jaką?

Moréac. Aby odesłać list ten podług adresu.

Lambert (czytają adres). „Do księdza... I czegóż chcesz od tego księdza?

Moréac. Aby przyszedł natychmiast.

Lambert. Aa! rozumiem. Wszyscy ci Bretończycy do siebie podobni! (do Moréaca) Nie mogę sam stanowić o tem, odniosę się do komendanta, on rozporządzi co robić z tobą oraz czy mogę przychylić się do twej prośby. Powrócę za pięć minut. (Idzie do żołnierza który przyniósł rozkaz i słyszał powyższą rozmowę) Wyjdź na taras i nie spuszczaj z niego oka; gdyby chciał uciekać, strzelaj.

Moréac. Nie myślę uciekać. (Żołnierz wychodzi i oddala się na taras).

Lambert (cicho przysunąwszy się do Anny). Za długo nie dowierzałaś mi pani, teraz boję się bardzo że nie w mojej mocy będzie ci dopomódz.

(Wychodzi, drzwi otwarte, ale żołnierza nie widać).

Scena siódma.

Anna. Moréac. (Zwróciwszy wzrok ku żołnierzowi i przekonawszy się że jest na tarasie, Anna wraca jakby nieprzytomna ku przodowi sceny, i zbliża się do Moréac'a. Cała ta scena powinna być odegrana tajemniczo, przytłumionym głosem).

Anna. Ach! to okropne!

Moréac. O! nie, to bardzo szczęśliwie wypadło.

Anna. Już po raz drugi chcesz się poświęcić! Zaledwie uniknąwszy śmierci na którą naraziłeś się w jego obronie, i znów chcesz stać się ofiarą.

Moréac. Jedynem mojem pragnieniem aby poświęcenie się moje jego ocalić mogło... gdy mnie zaaresztują, on będzie mógł uciec.

Anna. Ach!

Moréac (z przytłumionym uniesieniem). Ach! czyż nie pojmujesz że od chwili gdyśmy się znów spotkali, gdy ręka jego uścisnęła dłoń moją, pragnę, czuję że nie pozostaje mi jak zginąć w jego obronie.

Anna. Ale czyż ja mogę zezwolić na takie poświęcenie?... Jeżeli będę milczeć stanę się współwinną twej śmierci.

Moréac. A jeźli mi zaprzeczysz, jego na śmierć skażesz.

Anna (z rozpaczą). Ach! nie mów tego!

Moréac. Czyż przed chwilą sama nie chciałaś poświęcić się za nas obu?

Anna. O! wiesz dobrze iż to zupełnie co innego.

Moréac. Przez litość! nie odbieraj mi odwagi.

Anna. A! skądże ja zaczerpnąć jej mogę! (przechodząc na lewo). O! Boże mój! Boże! są więc istoty przeznaczone na męczeństwo!... czemże mogliśmy oboje zasłużyć na tak straszne cierpienie?... Kiedy przed czterema laty mój i twój ojciec nie chcieli wzajemnie zezwolić na nasz związek i rozłączyli nas z sobą, myślałem że w dniu tym przecierpiałam już wszystko co dusza ludzka przecierpieć może... Nic to jeszcze! Gdy myśląc żeś żyć przestał, zgon twój krwawemi opłakiwałam łzami—nic to jeszcze! gdy skutkiem szatańskiego oszukaństwa, zostałam żoną innego—zdało mi się że boleść moja dosięgła granic możliwości ludzkiej boleści—i to było nic jeszcze!... Trzebaż było tracić cię powtórnie, patrzeć na śmierć twoją i być jej przyczyną! (Łkając wpada w jego objęcia).

Moréac. Anno, droga przyjaciółko moja! dość, rozdzierasz mi serce. Powiedz sobie owszem że po raz pierwszy niebo ma litość nad nami!

Anna. Litość?...

Moréac (biorąc obie jej ręce). Tak, Anno. Śmiejmy prawdzie spojrzeć w oczy. Zostajemy pod naciskiem nieubłaganej konieczności; jeden z nas zginąć musi. Gdyby on śmierć poniósł, uważałbym się za jego zabójcę—jeźlibyśmy oba zdołali się ocalić, cóżby się wtedy ze mną działo, jakiż los by mnie czekał?... Oddalić się, odjechać i znów samotnię tułać się po świecie z niezatartem w sercu wspomnieniem twojem!... O nie! nie! raczej śmierć!... Stokroć wolę umierać jako ofiara poświęcenia—a może śmierć taka okupi moją winę...

Anna (spostrzegając Lamberta). O nieba! już idzie!

Moréac. Spokoju! spodziewam się że nie odmówiono mi jedynej łaski jakiej żądałem.

Anna. Jakiej?

Moréac. Żądałem aby wezwano kapłana; umierałbym z rozpaczą w duszy, gdybym nie zrzucił z sumienia ciężaru przygniatającej mnie winy... Wolny od niej, umrę spokojny, prawie z radością... zdawać mi się będzie że idę oczekiwać na ciebie!

(d. n.)

Do wielu.

Sonety.

I.

O nie zawsze, orle młody, gdy żar z piersi tryska,
Gdy natchnienie skrzy ci z lica, w szmer się słów [wylewa,
O nie zawsze nad podobnym promień sławy błyska,
Bo nie każdy wieszczem ludu co piosenki śpiewa.

Śpiewać można i być tylko... tylko marzycielem,
Gdy się własne wypowiada rozkosze i bole,
Dziś jedynie ten jest wieszczem, czyich pieśni celem
Ludzkość cała, horoskopy przyszłości sokole.

Smutno, smutno, orle młody, czy pamiętasz owe
Sny o sławie i nadzieje, marzenia tęczowe,
I te nuty, co się z piersi młodzieńczej tak rwały,
I te dotąd niedościgłe piękna ideały?...
Lepiej... lepiej przestań pragnąć, dość gdy nad grobowe
Twe mieszkanie z soków trupa kwiat wykwitnie biały.

II.

Orle młody! przestań pragnąć i na własną głowę,
Sam nie wkładaj wieńca sławy, choć ci kipi w łonie,
Gdyś poetą, nieświadomie będziesz głosił nowe
Prawdy światu, i świat nie ty, uwieńczy twe skronie.

Nie uwieńczy... znaczy jesteś tylko marzycielem,
O nie szemraj, świat nie kłamie, kiedyś iście wielki,
Choć nie zaraz, on cię uzna, będzie twym czcicielem,
I sarkofag wzniesie ci śród ziemi rodzicielki.

Teraz pracuj i nie rwij się do nagrody wieńców,
Choć ci smutno, orle młody, by przed dojściem mety,
Nie usnąć na wieki w gronie śmierci oblubieńców,
Bez przeznaczonego może, wieńca ci poety.
Orle młody! taka dola wieszczów, krocie ginie,
Aby jeden zabłysł słońcem: zwalczywszy głębinie.

J. Ku.......

SAMUEL BROHL I SPÓŁKA.

przez

Wiktora Cherbuliez

przekład

Elizy Rostworowskiej.

(Dalszy ciąg).

Antonina nie słuchała słów ojca; wsparta na dłoni tonęła w myślach. Pan Moriaz dotknął lekko jej ramienia, aby ją zbudzić z zadumy i rzekł:

— A więc stało się, ty go kochasz?

— Dla czego chcesz, abym to koniecznie wypowiedziała? odrzekła rumieniąc się.

— I on ci się oświadczył? Jak śmiał..

— On nic nie śmiał. Ah ojcze! jakże mało znasz Abla! Gdybyś go teraz nawet prosił aby się ze mną ożenił, z pewnością wrodzona duma nie pozwoliłaby mu zgodzić się na to, ja sama chyba musiałabym na klęczkach przekonywać go, iż nie uchybi to jego godności.

— A więc powiedzmy sobie, że jest to człowiek jedyny w swoim rodzaju, niezrównany, nadzwyczajny, iż dwóch podobnych polaków nie ma na świecie... I ty jesteś pewna że on cię kocha? Poruszyła głową twierdząco.

— Muszę wyznać, ciągnął dalej pan Moriaz, że szal podobny, jest dla mnie martwą literą, tajemnicą nad tajemnice, niepojmuję zkąd powstaje i co go podnieca. To jednak nie przeszkodziło mi ożenić się i być szczęśliwym. Ty się na rzecz te inaczej zapatrujesz, może i masz słuszność, pod pewnym względem, ale sądzę iż zawsze można oprzéć się podobnie gwałtownem i nagłem uczuciom. Masz siłę woli i charakteru...

— Albo on, albo nikt nigdy, przerwała półgłosem Antonina.

— A, kiedy tak, mówił dalej ojciec, to powiem ci iż jesteś pełnoletnią, panią twej woli i czynów, mnie nie pozostaje jak się poddać. Jednak przekonany jestem, iż nie chciałabyś wyjść za mąż w brew mojej woli.

— Czyż wątpisz o tem mój ojcze? jestem gotów nigdy nie wyjść za mąż!

— Złe postanowienie, gorsze niż wszystko inne. Ostateczności mi się nie podobają, w takich razach wolę rozsądne półśrodki. Czy ten szczęśliwy człowiek domyśla się jakie wzniecił w tobie uczucia?

— Powiadam ci ojcze że go nie znasz wcale. Za kogóż go bierzesz? Kiedy dziś rano przyszedł nas pożegnać, miał najszczerszą intencyą nigdy więcej nie spotkać się z nami.

— A to miał wyborne zamiary! ale naturalnie wytłomaczyłaś mu że z Paryża do Cormeilles jest tylko dwie godziny drogi.

— I z jaką trudnością dał się przekonać.

— Co prawda można jeszcze wszystko naprawić. Wiesz że lekarze polecili mi umiarkowanie we wszystkiem, nawet w zmianie powietrza. Aby więc nie przejść nagle, z ostrego górskiego klimatu do łagodnego powietrza, jakiem oddychamy w Cormeilles, udamy się ztąd do Churwalden, miejsca położonego o 500 stopni niżej jak Saint Moritz i tam zabawimy trzy tygodnie, zejdzie więc jeszcze miesiąc nim do Paryża powrócimy. W ciągu więc tego czasu będziesz rozważać i rozmyślać rozsądnie. Łatwo zawrócić sobie głowę w pośród tych gór i skał gdzie się pustelnicze życie pędzi. Zaraz nazajutrz po naszem przybyciu, gniewał cię deseń namalowany na papierze, jakim wylepiono ściany saloniku, deseń sam to przyznaje, w bardzo niemądre kraty, a w każdej kracie kwiczoł wyciągający dziobek po czerwoną jagodę. Dwieście kwiczołów i dwieście jagód, to śmiertelnie nudne. Nagle zjawia się polak...

Antonina uśmiechnęła się łagodnie.

— Za miesiąc powiem ci to samo co dzisiaj: Albo on, albo nikt nigdy, a ty ojcze wybierzesz.

— Proszę cię nie powtarzaj tego więcej. Podobny upór jest prawdziwem więzieniem woli, gdy mu się raz poddamy, już nie tak łatwo uwolnić nam się przychodzi. Zechciej zastanowić się trochę, zastanowienie jest zawsze bardzo korzystnem... A w końcu obiecaj mi że nie sprzeciwisz się temu, o co cię teraz będę prosić.

— Zgoda mój ojcze.

— Masz chrzestną matkę...

— Ah znowu, rzekła Antonina.

— Nie możesz temu zaprzeczyć że pani de Lorcy, jest kobietą światową, rozsądną, doświadczoną, któraby chciałaby widzieć cię zawsze szczęśliwą...

— I która od niepamiętnych czasów, ułożyła sobie iż nie mogę być inaczej szczęśliwą jak tylko zostawszy żoną jej siostrzeńca Kamila Langis.

— Przypuszczam że tym razem będzie stronną w swym sądzie, ale to jeszcze nie racya abyśmy nie mieli posłać jej naszego Polaka. Ona go obejrzy, osądzi, a zdanie jej zaważy niemało na szali twojej przyszłości.

— Oh! naprzód słyszę co powie. To kobieta rozsądna i doświadczona, nie pochwali nigdy człowieka, który pozwolił na to, aby panna Antonina Moriaz pokochała go, mimo że nie ma 50,000 funtów rocznego dochodu.

— To nic nie szkodzi, nie będzie ona dla nas wyrocznią; w każdym razie wiem iż zna się na fałszywych świecidłach. Gdyby spostrzegła...

— Zapytałabym jej jakie ma na to dowody, przerwała porywczo Antonina.

— A gdyby znalazła dowody?

Panna Moriaz milczała przez chwilę, wreszcie rzekła:

— Niechże i tak będzie, czyń mój ojcze co ci się podoba.

Powstawszy z miejsca udali się do domu. W pół godziny potem pan Moriaz wsiadał do powozu, który miał go zawieźć do przyległej wioski, gdzie chwilowo mieszkał hr. Laryński. Przybywszy na miejsce ojciec Antoniny zastał Abla zajętego pakowaniem swych rzeczy. Po krótkiej rozmowie pan Moriaz zapytał odjeżdżającego, czyby nie zechciał podjąć się przewiezienia pudełka zawierającego szkice zdjęte z widoków w Saint-Moritz, jakie Antonina chciała przesłać swojej chrzestnej matce, pani de Lorcy mieszkającej w Paryżu.

— Najchętniej, odparł z chłodną grzecznością hr. Abel, i obiecał że zaraz po przybyciu do Paryża, odeszle pudełko na miejsce przeznaczenia.

— Bądź pan uprzejmym do końca, dodał pan Moriaz, i chciej sam wręczyć przesyłkę pani de Lorcy, jest to bardzo miła kobieta i będzie uszczęśliwiona, gdy z ust pana dowie się co tu porabiamy.

Hrabia skłonił się lekko. W postępowaniu jego było tak wiele sztywności, że pan Moriaz zadawał sobie pytanie, czy się Antoninie nie zdawało że pan Laryński miał dla niej jakieś żywsze uczucie. Profesor nie czytał nigdy bezimiennego listu jaki odebrała jego córka, gdyż naturalnie został on trzymany przed nim w tajemnicy.

Wracając do Saint-Moritz, w pół drogi pan Moriaz spostrzegł na gościńcu, podróżnego idącego pieszo i tak zagłębionego w myślach, iż nie podniósł nawet oczów na mijający go powóz. Pan Moriaz wysiadłszy pobiegł ku idącemu, a uchwyciwszy go za ramiona zawołał:

— Jeszcze ty! zawsze ty! nie można ruszyć się nigdzie żeby zaraz ciebie nie spotkać. Raz jeszcze pytam cię: zkąd się tu wziąłeś?

— Myślałeś pan że będę siedział na miejscu do nieskończoności? odparł Kamil Langis z wyrzutem. nie dotrzymałeś pan słowa, zapomniałeś o mnie, nie napisałeś ani jednej litery. Sprzykrzyło mi się czekać i przybywam.

— I gdzie idziesz?

— Do tutejszego hotelu, bronić będę sam swej sprawy, kiedy mój adwokat nie dotrzymuje placu.

— Ah! dobrześ się wybrał! zawołał pan Moriaz, dziwnie na czas przybywasz. Pędź, proś, płacz, jęcz, błagaj, zostaniesz dobrze przyjęty, i w końcu opowiesz mi coś o tem.

— Co to znaczy? zapytał Kamil, co się stało? Czyś pan za mną przemawiał i nie chciano nawet słuchać?

— Gdzie tam, słuchano mnie, bez zapału co prawda, ale z uwagą, z uszanowaniem, gdy nagle... Cóż chcesz mój biedny przyjacielu? Na tym świecie pełno wypadków i Polaków.

Pan Langis patrzał na mówiącego z nieopisanem zdziwieniem. Pan Moriaz zaś ciągnął dalej:

— Oddaję ci sprawiedliwość, jesteś najpoczciwszy chłopiec pod słońcem, najznakomitszy z ciebie inżynier, ale na nieszczęście, w życiu twojem nie ma ani jednej tajemnicy, jesteś zacny, szczery, dobry, gładki przejrzysty jak kryształ. Ale nie jesteś nieznajomym przybyszem, nie miałeś matki idealnie pięknej i nie nosisz zawsze jej portretu na sercu, nie masz zielonych oczów o dwojakiem odcieniu, nie opowiadasz awanturniczych przejść z twego życia, nie byłeś w Kalifornii, nie zamiatałeś ulic w San-Francisko. A czy śmierć zajrzała ci kiedy w oczy? Czy probowałeś wszystkich rzemiosł? Czy wynalazłeś nowy system broni palnej? A przedewszystkiem, czy jesteś biedny jak szczur kościelny!... Co! i nie posiadając żadnej z tych zalet, śmiesz prosić o rękę mej córki?

W chwili gdy pan Moriaz skończył mówić, na gościńcu ukazała się pocztowa kareta. Hr. Laryński siedzący w kabryolecie, wychylił głowę i ukłonił się po razy kilka.

— Przypatrz mu się dobrze, rzekł profesor, oto nieprzyjaciel.

I zamiast dalszych objaśnień o jakie prosił Kamil, pan Moriaz rzekł spokojnie:

— Opuść to miejsce, zapomnij o przeszłości, oto co ci jedynie pozostaje.

— Nie znasz mnie pan, odparł Kamil, jestem uparty jak nikt na świecie. Odtąd nie odstąpię was ani na chwilę! Oh! nie lękaj się pan, potrafię udawać, Antonina będzie myśléć że zapomniałem o przeszłości, że wyrzekłem się dawnych nadziei. Będę dla niej przyjacielem tylko: ale oczy moje spragnione są jej widoku i widziéć ją muszę.

Nazajutrz rano nieprzyjaciel stanął już w Berne, zkąd udał się do Losanny, a stanąwszy tam, natychmiast pobiegł do Kasyna, zwanego Saksońskiem. Usiadłszy przy zielonym stoliku uczuł gwałtowne bicie serca, głowa jego pałała, zimny pot wystąpił na czoło. Rzucił dokoła dzikie spojrzenie, zdawało mu się że widzi wszędzie swą przeszłość, przyszłość i Antoninę Moriaz w naturalnej wielkości. Fortuna wynagrodziła mu tym razem swą minioną niełaskę. Po całej nocy wzruszeń i niepewności, gdy dzień zajaśniał hr. Abel miał w swej kieszeni blizko 20,000 franków.

— Summa ta wystarczy na zapłacenie długów i pomoże do spełnienia usnutych planów.

Wyszedł z kasyno z promieniejącem obliczem, a nadto w tak dobrem i wesołem usposobieniu, iż gdyby pan Guldenthal nawet stanął przed nim, byłby go chyba uściskał po przyjacielsku.

IV.

Chociaż nie mówił o tem pannie Moriaz, opowiadając jej swą odysseę, hr. Abel był już po razy kilka w Paryżu. Może się to wydać nieprawdopodobnem. Wylądowawszy na brzegach Ameryki był jeszcze dzieckiem, powróciwszy udał się natychmiast do Polski, potem zaś przebywał stale w Wiedniu. Kiedyż potrafił znaleźć czas na odwiedzenie Francyi? Co przecież jest rzeczą pewną, to że bulwary

nie były dla niego nowością i że znał wybornie miejsca, w jakich się Paryż zabawia; teraz jednak nie myślał o zabawie. Mimo pełnej kieszeni, miał zamiar prowadzić życie samotne i oszczędne. Najął skromne lecz przyjemne i jasne mieszkanie na 5-tem piętrze, z widokiem na ogród Tuilleryjski. Od pierwszego dnia zyskał sobie łaski odźwiernej, poczciwej starej kobieciny, gdyż hr. Abel był zdania że na tym świecie dobrze być w zgodzie zarówno z własnem sumieniem, jako i z odźwierną domu w którym się mieszka.

Ustaliwszy się w nowem mieszkaniu, napisał zaraz do pana Guldenthala, odsyłając mu pożyczone pieniądze i wzywając o zwrot zastawionej bransolety; potem odetchnął swobodniej na myśl że nie jest już nic nikomu winien. Człowiek dumny z natury, lubi się czuć oswobodzonym, a przenikliwy, obrachowywa naprzód okoliczności następstwa. Potem udał się do jednego z ogrodów i kupiwszy tam bukiet za 60 franków, zaniósł go do mieszkania pod Nr. 27 na ulicę Mouffetard, miał bowiem jedną z tych pamięci, co wszystko zachowa a nic nie uroni. Bukiet ten, najpiękniejszy jaki panna Galet widziała w życiu, zadziwił ją niepomiernie, nie wiedziała komu wypadało dziękować, gdyż wspaniałomyślny ofiarodawca odszedł nie wymieniwszy swego nazwiska. Przypuszczając iż był to dar przysłany przez pannę Moriaz napisała do niej list na cztery strony z podziękowaniem.

Hr. Abel nie zapomniał o przesyłce poleconej mu przez Antoninę. W kilka dni po przybyciu do Paryża, postanowił udać się do willi zajmowanej przez panią de Lorcy, ale zarazem chciał zwiedzić Cormeilles i jeszcze jedną miejscowość w tej samej okolicy leżącą, która go też żywo zajmowała. Przybywszy na miejsce koleją, zatrzymał się w oberży na drodze stojącej, aby tam posilić się trochę.

Był to prześliczny sierpniowy poranek, pełen woni i barw jesiennych. Po błękitnem niebie gdzie niegdzie, płynęły szare obłoczki, lekka srebrna mgła spowijała szczyty pagórków, fale Sekwany lśniły tysiącem promieni. Abel kazał podać śniadanie pod gołem niebem; jedząc patrzał na wspaniale roztaczającą się u stóp jego dolinę, pokrytą winnicami, łanami jarzyn i sadami pełnemi owoców. Zielone gaje otaczały ją do koła, tworząc czarującą ramę, do tego ślicznego obrazu. Usposobienie Abla było w zupełnej harmonii z otoczeniem. Z kolei zapytywał sam siebie, ile może przynosić dochodu winnica położona w bliskości Paryża, a po skończonym rachunku, poglądał okiem poety na piękności wybujałej natury. Po skończonem śniadaniu puścił się w dalszą drogę, ścieżką wijącą się w pośród zielonej łąki i liściastego gaju. Zbliżając się do Cormeilles, ujrzał z daleka przez lukę którą tworzyły drzewa lasu, białe mury ładnej willi. Serce jego uderzyło silniej i jakby wiedziony przeczuciem, rzekł sam do siebie: To chyba tam! Zapytawszy przechodzących poznał że nie zawiodło go przeczucie. W pięć minut potem stanął przy zielonej kracie, po za którą można było dojrzéć zieloną łączkę. Przy bramie siedziała kobieta z robotą w ręku.

— Proszę objaśnić mnie, gdzie mieszka pan Moriaz? zapytał hr. Laryński.

— Tutaj panie, odrzekła, ale go nie ma w domu i nie powróci jak za miesiąc. Jeśli pan zdaleka przybywa może też miło mu będzie spocząć chwilę w ogrodzie, dodała uprzejmie odźwierna, widok tu jest bardzo piękny.

To grzeczne przyjęcie zdawało się być dobrą wróżbą, Abel wierzył w przeczucia i przepowiednie. Wszedł chętnie do ogrodu, a przebywszy zieloną łączkę, spostrzegł dwa oddzielnie stojące domki, połączone zielenią i kwiatami. Na prawo stał stary pawilon mieszczący w sobie pracownię, bibliotekę i zielnik pana Moriaz. Po lewej stronie widać było nowy murowany domek o dwóch piętrach, postawiony z gustem, bez zbytnich ozdób, z ładną wysmukłą wieżyczką, otoczoną bluszczem, służącą zarazem za gołębnik. Domek ten który nie można było nazwać pałacem, tchnął dostatkiem, poezyą i szczęściem; patrząc nań trudno było nie powiedzieć sobie: Jak tu dobrze być musi.

Hr. Abel patrząc na to urocze mieszkanie, ledwo że nie zawołał głośno: Boże jak mi tu dobrze będzie! Położenie, łączka, ogród, wszystko zachwycało go niezrównanie. Zdawało mu się że powietrze jakiem tu oddychał, było świeższe i łagodniejsze jak gdzie indziej, że trawa tu rosnąca, była zieleńszą jak ta którą widział dotąd, że kwiaty kwitnące na grządkach, wydzielały woń słodszą i łagodniejszą, jak zwykle po innych ogrodach.

Spojrzał na domek, jedno z parterowych okien było otwarte. Zbliżywszy się zagłębił spojrzenie w ślicznym gabineciku kobiecym, pełnym gustownych drobnostek. Pokoik o ścianach pokrytych białym atłasem, zarówno jak bóstwo, którego było ulubionym przybytkiem, tchnął tą czystą dziewiczą niewinnością. Przez okno wdzierała się woń kwiatów w ogrodzie kwitnących. Zdawało się patrzącemu, że nigdy nic pospolitego, nic skażonego, nie przestąpiło tych progów, że wejście tu wzbronione wszystkim wątpliwej cnoty istotom, i tym co mają coś do ukrycia przed okiem ludzi prawych, i takim, którzy idąc niezawsze prostą drogą życia, przynoszą na swem obuwiu kurz i błoto. Rzecz dziwna, hr. Abel uczuł się onieśmielonym. Zdawało mu się że popełnia świętokractwo, odwrócił oczy i oddalił się od okna.

Wrażenie to jednak szybko się rozwiało. Odzyskawszy całą pewność siebie, obszedł kilka razy terasę, depcząc skrzypiący zwir krokiem zwycięzcy. Wreszcie usiadł na ławeczce przybierając postać człowieka będącego u siebie. Stado gołębi podniosło się z ziemi i usiadło na dachu, Abel zrozumiał że o nim rozmawiały i że mówiły do siebie: Oto ten na którego czekałyśmy tak długo. Piękna biała jak śnieg angora, o długim jedwabnym włosie, wyszła z cienistej altany i zbliżyła się do siedzącego. Spojrzała nań ciekawie a otarłszy się o ławkę, usiadła u nóg przybysza. Pogłaskał ją mówiąc:

— Jesteś zręczna i biała jak twoja pani i jako inteligentne zwierzę zrozumiałaś że od niej przybywam. Chcesz żebym ci wyjawił jej tajemnicę? Ona kocha hr. Abla Laryńskiego.

Po tych słowach powstał z miejsca a wychodząc z ogrodu podziękował uprzejmie odźwiernej, która zdziwiłaby się niepomiernie, gdyby był jej udzielił choć cząstkę poczynionych spostrzeżeń i wniosków.

Szedł prosto gościńcem, aż do drogi prowadzącej na prawo przez lasek, lecz żal mu było oddalić się od miejsca, które tak żywo przemawiało do jego serca a bardziej jeszcze do wyobraźni; zatrzymał się i usiadł w pośród kwiecistej łączki.

Przed jego oczyma roztaczały się rozkoszne gaje, srebrna wstęga Sekwany przeciętej wspaniałym mostem, wreszcie w oddaleniu, widać było Paryż ze złocistemi wieżycami, kościołów i kłębami dymu podnoszącego się z kominów fabrycznych i ginącego w przestrzeni. Cisza głęboka panowała do koła, przerywana niekiedy łagodnym śpiewem jaskółki. Abel Laryński uczuł że owładnęło nim dziwne wzruszenie. Ścigał oczyma kłęby dymu unoszącego się w powietrzu, wśród nich widział niewyraźnie powiewną postać z głową osłoniętą czerwonym kapturkiem.

Postać ta uśmiechała się do niego, a uśmiech ten, był mu wróżbą wszystkich rozkoszy ziemi obiecanej.

Odwrócił oczy, przymknął powieki i ujrzał przed sobą twarz inną, całkiem odmienną. Była to postać mężczyzny, którego znał dobrze i dla którego miał wiele przyjaźni. Zakrył twarz rękoma i pozostał tak długo, pogrążony w zamyśleniu. Próżno jaskółka zawodziła swą piosnkę, Abel nie słyszał jej nawet. Myślał o Samuelu Brohl, przywodził sobie na pamięć wszystkie sceny z życia tego człowieka, który nie miał dla niego żadnych tajemnic. Historya jego była równie smutną, jak życie Abla Laryńskiego, lecz co prawda była mniej głośną, mniej bohaterską. Samuel Brohl nie był wynalazcą, matka jego nie była kobietą o anielskim uśmiechu na bladych ustach. Nie był polakiem, choć przyszedł na świat w Galicyi. Ojciec jego był niemieckim żydem, który dzierżawił karczmę przy wschodniej granicy państwa, w smutnej i brudnej mieścinie. Choć całą siłą starał się jak najdrożej sprzedawać jak najgorszą wódkę i pożyczać bliźniemu na największe procenta lichy grosz, interesa jego szły niedobrze; był zajączkowatego usposobienia, z czego nie jeden korzystać umiał. W postępowaniu swojem trzymał się zawsze trzech głównych zasad: umiał dobrze kłamać, dobrze kraść, a dostawszy policzek, udać że nie spostrzegł tego nawet. Lecz z tych trzech ćwiczeń najwięcej wydoskonalił się w ostatniem; co do reszty, miał najlepsze w świecie zamiary, lecz brakowało mu rozumu.

Abel Laryński przeniósł się myślą do brudnej karczemki, w której upłynęły perwsze dni młodości Samuela Brohl'a, która mu była tak dobrze znaną. Przypomniał sobie drewnianą półkę, na którą w czasie kłótni nietrzeźwych gości, rzucono butelkę wina, które rozlawszy się zostawiło plamę, przypominającą twarz ludzką. Wreszcie stanęła przed nim postać samego karczmarza, brudna, zaniedbana z rudą brodą i pochylonym grzbietem. Widział go kręcącego się, wirującego, obcierającego czoło rogiem brudnego hałata. Dlaczego to czynił? Jeden z pijących plunął w twarz jego, on ją obtarł z uśmiechem na ustach. Uśmiech ten przeraził hr. Abla, wspomnienie przejęło go wstrętem.

— O gdyby to dzieciom wolno było wybierać sobie ojców, pomyślał. A jednak o mało że ten biedny Samuel Brohl, nie spędził całego życia w zakopconej karczmie, szczęśliwy jak ryba w wodzie. Można się do wszystkiego przyzwyczaić, nawet do błota; są niekiedy ludzie którzy się niem żywią, a przecież potrafią je trawić. Czemuż Samuelowi zachciało się czytać Szekspira? Poeci są czasem trucicielami.

Tak się też stało, Samuel Brohl znalazł dnia jednego książkę zgubioną przez podróżnego. Było to niemieckie tłomaczenie „Kupca Weneckiego.“ Przeczytał raz, i nic nie zrozumiał, i czytał tyle razy, aż w końcu pojął wszystko. W głowie jego powstał straszny zamęt, zdawało mu się że zwaryował. Powoli uspokoił się i spojrzał na świat ze zdziwieniem z oczu jego spadła zasłona, widział rzeczy których nie dostrzegł dotąd, zawładnęła nim radość połączona z przestrachem. Nauczył się na pamięć kupca Weneckiego, uciekał na strych i tam wołał jak Shylok:—Czyliż żyd nie ma oczów, rąk, serca, uczuć i namiętności? Gdy nas kłujecie, czy krew nie płynie? Gdy nas połechczecie, czy się nie śmiejemy? Gdy nas trujecie, czy nie umieramy? Gdy znieważacie, czy nie potrafimy mścić się? A potem powtarzał z Lorenzem:—Patrz w niebo Jessico; nie ma jednego z tych ciał błyszczących, któreby w poruszeniu swojem, nie zachowało najcudniejszych harmonii, stanowiącej niebiański akord, ze śpiewem

cherubinów. Dusze nieśmiertelne noszą w sobie podobną harmonią, lecz póki ta nędzna cielesna lepianka więzi ją w sobie, słyszéć jej nie jesteśmy w stanie. Samuel powstawał niekiedy w śród nocy by patrzéć w niebo, i zdawało mu się że słyszy śpiew cherubinów. Marzył o świecie w jakim żyją Jessici i Porcie, o świecie w którym żydzi byli dumni jak Shylock, mściwi jak Shylock, i jak on przez zemstę pochłaniali serca nieprzyjaciół. I biedny ten szaleniec marzył, że w sercu, że w piersi Samuela Brohl jest dusza nieśmiertelna, która śpiewa, lecz że śpiewu tego on słyszéć nie może dla tego, bo nędzna lepianka w której się ta dusza gnieździła, jest zbyt grubą. Wtedy natura jego wzdrygała się na wszystko co go otaczało, brzydził się karczmą, karczmarzem, samym sobą. Stary nauczyciel szkółki miał odwieczny klawicymbał, nauczył go grać na nim i pożyczał mu książki, myśląc że dobrze czyni. Pewnego dnia Samuel wyraził ojcu chęć udania się do szkoł we Lwowie, dla nabycia wiadomości o rzeczach, które wydały mu się być pożyteczniejsze. Wtedy to Samuel dostał od ojca policzek, pod wpływem którego ujrzał gwiazdy w pośród południa. Stary Jeremiasz Brohl nienawidził syna, bo w oczach jego dostrzegł coś, co mu mówiło, że Samuel Brohl pogardzał ojcem.

— Biedak! szepnął hr. Abel, podnosząc z ziemi kamyk i podrzucając go w górę, nagroda należała mu się od losu, który my tyle cierpiéć kazał w młodości. Przeszedł z deszczu pod rynnę, zamienił poddaństwo na niewolę, straszniejszą jeszcze. Wyszedłszy z Egiptu, myślał iż dostanie się do ziemi obiecanej! Niestety! pożałował w krótce Egiptu i Faraona... Czemuż ta kobieta nie była Porcią? czemuż nie była piękną i młodą? Po chwili dodał: Stara czarownico niemało on cierpiał przez ciebie!

Zdało się Ablowi Laryńskiemu że ta kobieta, ta czarownica, która tyle kazała cierpieć Samuelowi Brohl, stanęła tuż przy nim patrząc mu w oczy, wzrokiem jakim czarownice patrzéć potrafią. Na ustach miała pogardliwy uśmiech, uśmiech monarchini, mówiący wyraźnie: — Poduiosłam go dziś tak wysoko, jutro mogę go znów zrucić i zdeptać. Tak to ona, ona sama, myślał hr. Laryński. Nie mogę wątpić, widziałem ją znów przed pięciu tygodniami w pośród gór Szwajcaryi; zobaczywszy, zadrżałem przed nią

(d. c. n.)

Przegląd literatury zagranicznej.

W i k t o r H u g o.

Początkowe trudności jego zawodu literackiego. Charakterystyka jako człowieka prywatnego.

Znane są z dziejów literatury różnych narodów, rozmaite trudności, jakie w zawodzie swym zniewalani byli zwalczać pisarze genialni, a przynajmniej odznaczeni prawdziwie znakomitym talentem, zanim zyskali ogólne uznanie. Stan to rzeczy zupełnie usprawiedliwiony.

Tak nazwani belletryści będący podporą pism peryodycznych, dając umysłową strawę codzienną, są do pewnego stopnia wyobrażeniem danej jedynie chwili.

Przeciwnie wielcy pisarze, są zwiastunami dalszego rozwoju dziejowego, przynoszą nowe pojęcia, wyobrażenia, często nową formę, która samą niezwykłością razi smak współczesnych.

Walka ta z zastarzałem uprzedzeniem, często zajadła a zawsze bolesna, zwykle dopiero w następnem pokoleniu kończy się zwycięztwem niezmordowanego szermierza.

Słusznie też bardzo powiedział nasz znakomity Kraszewski: jeżeli drobnym talentom za życia stawiamy pomniki; cóż pozostanie dla gienialnych pisarzy? Ah! zapomnieliśmy! dla drugich zostają łzy i upokorzenia.

Odwróćmy jednak wzrok nasz od nieuniknionych dramatów życia ludzkiego, i pocieszmy się odmiennym zupełnie obrazem.

Wiktor Hugo należy do niewielkiej liczby pisarzy, którzy przetrwawszy najsroższą krytykę, prawie zniewagi współczesnych, doczekali się największego uznania wśród wzrastających dwóch pokoleń po sobie następujących, i okryci aureolą sławy, mają siłę jeszcze przewodniczyć trzeciemu.

Dramat przez niego napisany *Hernani* przedstawiony po raz pierwszy w Paryżu w r. 1830, odegrany był w r. b. w lutym wsród uniesienia publiczności, nieskończonych nigdy oklasków jako w pięćdziesięcioletnią rocznicę swego pojawienia się. Dzienniki wszelkich odcieni politycznych, oddają z rzadką jednomyślnością cześć znakomitemu autorowi.

Z tej właśnie przyczyny podane zostały rozmaite szczegóły z życia Wiktora Hugo, które jako bardzo zajmujące w streszczeniu dajemy.

Właściwa mu oryginalność zaraz w pierwszych chwilach naraziła go na liczne ciosy krytyki, które człowiekowi z mniejszym od niego talentem, z pewnością wytrąciłyby pióro z ręki.

Ówczesne powagi naukowe, chciały go nagiąć do ustalonych prawideł sztuki, a ponieważ upór młodego pisarza był nieprzezwyciężony, wyrażono się zatem o nim z największą pogardą i oburzeniem. Nie mogąc potępić całości utworów, czepiali się różnych drobiazgów, dla wykazania szkodliwego wpływu nowego pisarza. Nie przebaczono nawet pojedynczym wyrazom, i z tego względu miało miejsce zabawne zdarzenie.

W roku 1834, Wiktor Hugo odbywał podróż dyliżansem z pewnym uczonym archeologiem, który go nie znał osobiście.

W drodze poczęto rozmawiać o literaturze, a tem samem i o Wiktorze Hugo, jako o pisarzu zwracającym na siebie ogólną uwagę. Archeolog sądził go już nietylko surowo ale ze zgrozą, oskarżając o zbrodniczą dążność zatracenia języka francuzkiego. Nienawiść jego nie znała granic, syna swego chciał wydziedziczyć jedynie dlatego, że odczytywał z uwielbieniem utwory młodego poety. Córkom swoim i żonie zabronił wziąść do ręki pism Wiktora Hugo, ponieważ pisarz ten krzewił niemoralność, używając wyrazów, których kobiece nie mogły powtórzyć, a nawet mężczyźni wychowani przyzwoicie, nie mogli ich wymienić inaczej, jak tylko ztwarzą pokrytą szkarłatem wstydu.

Wiktor Hugo w jednym ze swoich utworów użył wyrażenia *gamin* (ulicznik, lampart) zacny archeolog dostrzegłszy popełnioną zbrodnię przeciwko dobremu smakowi, doznał zawrotu głowy, szumu w uszach, a pod wpływem zgrozy trzymaną w ręku książkę wyrzucił na ulicę.

Jakiego wrażenia byłby doznał ów uczony, gdyby dożywszy czasów obecnych, odczytał był już nie powiemy pisma Zoli, ale sprawozdanie dziennikarskie usiłujące usprawiedliwić użyte przez niego wyrażenia.

Krytycy usiłujący objąć całość przedmiotu, zarzucali Wiktorowi Hugo naśladowanie Woltera. Notre Dame de Paris była tylko bladą kopią Meropy. I tu i tam matka odszukała swoją córkę, nie było zatem ani w pomyśle ani w układzie tyle wsławionej później powieści najmniejszej oryginalności. Dramat Marion Delorme porównywano do pomady sprzedawanej na placach publicznych, która wedle zapewnienia szarlatanów, ma być środkiem nieomylnym do bujnego porostu włosów. Jeden z profesorów uniwersytetu pisał w r. 1842, że uważając rzecz ze stanowiska językowego, Wiktor Hugo nie ma i mieć nie będzie nigdy najmniejszej powagi. Za czasów cesarstwa starano się spotwarzyć obyczaje wielkiego poety; wedle zapewnień naocznych niby świadków, służba codziennie wyciągała go z pod stołu, aby pijanego złożyć na przygotowanem wcześnie łóżku. Nie przebaczano nawet powierzchowności. Henryk Heine utrzymywał wytrwale, że Hugo jest brzydki i niekształtny.

Doznawszy tyle obelg i potwarzy, poeta francuzki zemścił się po swojemu. Kazał wymalować portret swój w naturalnej wielkości, a pod nim napisał dwuwiersz następujący:

Okrutnik w odpowiednie przymioty bogaty;
Warjat, zbójca, pijak, a przytem garbaty.

Dzisiaj wszystkie już te zarzuty należą do wspomnień, wywołując na usta uśmiech bolesny, złośliwość jednak ludzka niewyczerpana jest w pomysłach, i nie przebacza prawdziwej wyższości. Skoro jedne zarzuty okazały się nieprawdziwe, wymyślono inne, jeżeli nie z większą słusznością, przynajmniej z większym pozorem prawdy. Otóż zarzucają mu zbytnią pychę, i do pewnego stopnia ubóstwienie samego siebie. Określenie powyższe do pewnego stopnia musi być prawdziwem, kiedy biograf jego pan Rivet nie odpiera twierdzenia, ale stara się je usprawiedliwić i wytłomaczyć.

Poeta w otoczeniu swem doznaje czci wielkiej, prawie królewskiej, nikt nie tai swego uwielbienia dla gienialnego męża, a i on sam pojmuje doskonale swoją wartość.

Gdyby żył Fontenelle, powiada Rivet, z pewnością nazwałby Wiktora Hugo ograniczonym człowiekiem gdyby ten nie pojmował swego znaczenia w świecie. Wypada jeszcze wspomnieć o zamiłowaniu tego pisarza, do wszelkich form i zwyczajów arystokratycznego świata. Na zwykłych zebraniach tygodniowych, czarny frak i biały krawat są wymagane nieodzownie. Tak jak rodzaj talentu, tak i sposób życia, jakże różnym jest poetów francuzkich i wielkich naszych wieszczów! Porównywano krytycznie utwory jedne z drugiemi, ale jakże wiele możnaby wyprowadzić wniosków, porównywając życie domowe przedstawicieli dwóch różnych narodowości.

O zarzucie skąpstwa pan Rivet wyraża się w następujący sposób:

„Oskarżając Wiktora Hugo o skąpstwo, zarzucają mu że zanadto wiele pobrał pieniędzy za swoje dzieła. Prawdopodobnie za przykładem Woltera chciał on zyskać niepodległość zupełną, a koniecznym do tego warunkiem jest posiadanie odpowiedniego majątku. Hugo jest bogaty, ale nie zwiększa swoich zasobów, ani też nie jest zbytnio do nich przywiązany.“

Na udowodnienie szlachetności serca poety francuzkiego, przytaczane są rozmaite wypadki z jego życia. W czasie swego wygnania za cesarstwa, mieszkając na wyspie Guernesey, wyprawiał raz na tydzień obiad dla ubogich dzieci, które zazwyczaj w liczbie trzydziestu do czterdziestu zasiadały do stołu. W Paryżu miał oddzielną stancyę przeznaczoną dla ubogich literatów, a nazywaną tratwą Meduzy, gdzie znajdowali przytułek różni nieszczęśliwi ludzie pióra. Bezwątpienia różne żądania niewłaściwe, doznawały odmowy, ale czyż może być inaczej. Zgłaszali się do niego ludzie nieznajomi zupełnie, żądając pożyczenia często znacznego kapitału. poczynając od piętnastu aż do stu tysięcy franków.

W ciągu dwóch dni otrzymał raz trzydzieści cztery listy, a żądane kwoty dodane razem, wynosiły dwakroć czterdzieści tysięcy franków. Ostatecznie jednak nie jest tajemnicą, że nie lubi dawać pieniędzy i że takowych nie daje wcale; w tej mierze okazał dziwną wytrwałość, większą bez porównania, aniżeli w swoich zapatrywaniach politycznych. We wszelkich jednak innych względach jest nader uczynnym, i w roku 1872 po komunie, wielu nieszczęśliwych płci obojga, zawdzięczało ocalenie swego życia jego wpływowi. Raz wieczorem jechał na przedstawienie wznowionej swej sztuki Ruy-Blas, gdy zaszła mu drogę spłakana matka, prosząc o wstawienie się za jej synem na śmierć skazanym. Hugo zapomina o widowisku, jedzie do Thiersa ówczesnego prezydenta, i otrzymuje jego ułaskawienie.

Wiktor Hugo jakkolwiek wychowany w zasadach monarchicznych i ściśle katolickich, uległ w koleji czasu wielkiej zmianie; wierzy jednak w byt Boga wedle pojęć chrześciańskich, i w nieśmiertelność duszy. Pojęcia tego rodzaju, stawiają go w pewnej sprzeczności z niektóremi kołami republikańskiemi, dla których materyalizm ścisły, jest koniecznym warunkiem szczerości zasad liberalnych. Któryś z komitetów przedwyborczych, stawił mu wręcz wezwanie nader zabawne.

— Wybieraj między nami i Bogiem, jeżeli chcesz otrzymać stanowisko deputowanego.

— Odmawiam wam wszelkiego prawa stawiania mi podobnego zapytania, odpowiedział Hugo z oburzeniem, gdybym zaś był zniewolony odpowiedzieć otwarcie, w takim razie wybieram nie was ale Boga.

Religia Wiktora Hugo nie ma w sobie nic dogmatycznego; jest to idealizm ożywiony poezyą, którego podstawy określone zostały w rozmaitych opracowaniach szczególniej poetycznych.

Wedle zdania p. Rivet, Hugo dał wzory najwznioślejszej poezyi filozoficznej, nie będziemy się spierać w tej mierze, chociaż sam rodzaj nie trafia do naszego przekonania. Filozofii nie pojmujemy inaczej jak tylko w wykładzie ściśle naukowym, a ujęcie jej w formę wiersza, do tego rymowanego, odbiera jej wszelką wartość.

Osobistą nieśmiertelność duszy człowieka, Hugo udowadnia w sposób dosyć oryginalny. Na wyspie Guernesey, prowadził raz rozmowę z Keslerem, prawdopodobnie synem owego Keslera, wsławionego wiernością swej małżonki, pomimo tak niebezpiecznego współzawodnika jakim był Goethe.

— Wierzę zupełnie w nieśmiertelność mówił Hugo, nie w nieśmiertelność nazwiska co ostatecznie jest złudzeniem, ale w nieśmiertelność osobistą mego pierwiastku duchowego. Wierzę jak najzupełniej w nieśmiertelność duszy.

— A ja nie wierzę, odpowiedział krótko Kesler.

— Jesteś na drodze bardzo niebezpiecznej, rzekł Hugo z powagą. — Posłuchaj jednego zdarzenia. Dante znajdując się w swojem mieszkaniu, napisał dwa wiersze a potem wyszedł. Wiersze te po wyjściu swego twórcy, zaczęły prowadzić między sobą rozmowę.

— Co za szczęście! rzekł jeden, napisał nas Dante, a tem samem pozyskaliśmy nieśmiertelność.

— Rzecz wcale niepewna, odpowiedział drugi.

— Jakto? nie czujesz w sobie nieśmiertelności? wykrzyknął wiersz pierwszy, dla mnie okoliczność ta nie pozostawia najmniejszej wątpliwości, ja czuję w sobie nieśmiertelność.

— Nie doznaję wcale podobnego uczucia, zapewniał wiersz drugi.

W trakcie tego wraca Dante, a odczytawszy raz jeszcze jeden dwa wiersze napisane, pierwszy zostawił bez zmiany, a drugi przekreślił w całości. Jeżeli więc i ty kochany Keslerze jesteś wierszem przemazanym, w takim razie nie mam nic więcej do nadmienienia.

Nieśmiertelność duszy w pojęciu Wiktora Hugo jest warunkowa, zależna od stopnia wyrobienia naszego rozwoju duchowego. Zgadza się on z pojęciami niektórych filozofów, jak Spinoza i Renan. Wedle określenia ludu polskiego, można również zbawić lub zatracić duszę. Prostaczkowie i wielcy mędrcy, często bardzo są nader zgodni w swoich zapatrywaniach.

(d. n.)

Z kraju i z zagranicy.

— *„Ziarno.“* Obawy, że opóźnienie się „Ziarna“ źle wpłynie na pokup tego pisma, okazały się płonne. Przez pierwsze trzy dni sprzedano 6,000 egzemplarzy w samej Warszawie. Spodziewać się należy również wielkiego odbytu na prowincyę i do ziem pozakordonowych. Powtórne wydanie już zarządzono.

— Skończył się tak zwany letni karnawał warszawski a z nim wszystkie doroczne odbywające się w tym czasie obchody, zabawy i zabawki. Największem powodzeniem cieszyła się *Wystawa koni;* setki widzów codziennie odchodziło z kwitkiem nie mogąc dostać biletów—cóż tak pociągało tłumy nietylko mężczyzn ale i kobiet?—Nowość i nadzieja licznego zebrania, boć dziewięć dziesiątych z widzów nietylko nic a nic nie zna się na koniach, ich rassie i hodowli, ale nawet i pretensyi do tego nie ma i mieć nie może.

— Nie darmo mówi przysłowie: „nowe sitko na kołek a stare pod ławę“ przekonywa o tem tradycyjna uroczystość „wianków“ w przeddzień Ś. Jana, niegdyś tak świetna i modna, a dziś zupełnie zaniedbana. I zkądże taka niełaska dla odwiecznej ludowej uroczystości!

W Krakowie, uroczystość wianków gromadzi wszystkie sfery społeczne, od najniższych do najwyższych W tym roku odbyła się ona z większym jeszcze niż zwykle przepychem i wystawnością. Po obu stronach Wisły, poniżej Wawelu urządzono dla publiczności wygodne estrady, a dla arcyksiężnej Fryderyka z małżonką ozdobną altanę, przystrojoną wewnątrz kobiercami i portretemi cesarza i cesarzowej austryjackiej, zewnątrz zaś wieńcami i kolorowemi lampionami. Za przybyciem arcyksięztwa odezwały się dwie orkiestry wojskowe i głośne okrzyki zgromadzonych tłumów. Uroczystość rozpoczęła się o 9-ej puszczaniem balonów i sztucznemi ogniami urozmaiconemi wytryskującemi z wody fontannami ognia, podwodnemi wulkanami, młynkami, racami rozrzucającemi w powietrzu różnobarwne gwiazdy. Następnie przepływały zwolna galary przystrojone zielenią, oświetlone lampionami i ogniem bengalskim. Urządzony przez wojskowych „Nautilus“ wyobrażał okręt, na drugim także pięknie i bogato przyozdobionym Towarzystwo muzyczne wykonywało kantaty. W pośród niezliczonej liczby pięknych wianków, wyróżniały się: wianek z orłem a drugi z amorkiem, ale bez zaprzeczenia najwspanialszym był wieniec nadesłany z Bochni, z herbem Krakowa i popiersiem królowej Jadwigi. Żywe bardzo wywarła wrażenie i szalone oklaski pantomina rusałek i wesele krakowskie przedstawione na scenie urządzonej na prawym brzegu Wisły, wspaniale oświetlonym. Wszystko to połączone razem, przedstawiało się tak uroczo, tak prawie czarodziejsko, iż widzowie mogli mniemać że znajdują się w jakiej fantastycznej krainie marzeń, i rozeszli się około północy zadowolnieni i wdzięczni komitetowi za jego pomysłowość i poniesione trudy.

— Mało kto zapewnie zna broszurkę wydaną w Krakowie przez p. Aleksandra Łuszczkiewicza, delegata Akademii Umiejętności, dla zbadania prastarej bazyliki we wsi Tumie pod Łęczycą, p. n. *Kościół kollegialny Łęczycki we wsi Tumie pod Łęczycą,*—oto krótki z niej ustęp. „Świątynia ta szczęśliwie dochowana w pierwotnej szacie, jest jakby skamieniałym faktem historycznym, świadkiem dziejowym pouczającym o dawnych stosunkach społecznych, chwytającym za serce pięknością swoją długie szeregi pokoleń aż do współczesnych. Starca takiego nie każdy zrozumieć może, bo to zadanie znawcy sztuki i historyka, ale z postawy i oblicza wszyscy muszą szanować go i podziwiać... Kościół ten kamienne wieże swoje jakby ręce wyciąga ku niebu, i od siedmiu wieków przyświeca światu krzyżami swemi i patrzy otworami okien i strzelnic w około siebie na te światy, co jak pory roku ciągle szaty swe zmieniały. Widział on przeciągające pod murami swemi pierwsze hordy Tatarskie plondrujące Polskę, zastępy łupiezkich Krzyżaków za Łokietka, a później szwedzkich wojsk roty oraz różnych książąt i wysokich dostojników kościelnych zebranych tu na synody—wszystko to zapadło w otchłań przeszłości, dziś tylko cmętarz wieśniaków rozłożył się dokoła, a dawna kollegiata zamieniła się w małe probostwo...“ Za kosztowna to pamiątka dla małej wiejskiej parafii—na co składały się dochody kollegiatów, dziś dźwigać musi na barkach swoich ubogi proboszcz; jednak brzemienia tego nie uważa on za zbyt ciężkie na barki swoje, podpiera ściany i z niestrudzoną wytrwałością ratuje od upadku prastarą świątynię. Za jego staraniem dokonano głównych reperacyi dachu i wnętrza kościoła, a choć najbiedniejsza to parafia w całym dekanacie przecież własnym prawie pozostawiona siłom, zdołała zapobiedz ruinie pamiątkowego swego kościoła.

— Odkładana tylokrotnie uroczystość odsłonięcia w Moskwie pomnika najznakomitszego rossyjskiego poety Puszkina, odbyła się nareszcie 18 b. m. Uroczystość rozpoczęła się nabożeństwem w miejscowym „Strastnym Monastyrze“ poczem wszyscy zebrani udali się na plac na którym wzniesiono pomnik. Plac ten otoczony był łańcuchem, po za którym cisnęły się niezliczone tłumy ludu. Na uroczystości obecni byli: J. W. Książe Oldenburski, Minister oświecenia Saburow, jenerał gubernator Moskiewski i wielu znakomitych przedstawicieli władz, deputacyi uczonych stowarzyszeń i t. p.

Gdy procesya postępująca przy dźwiękach muzyki, stanęła około osłoniętego pomnika, członek komitetu, sekretarz stanu Korniłow, wręczył głowie miasta akt oddający pomnik pod opiekę zarządu miejskiego: przyjmujący tenże akt odpowiedział dziękczynnemi słowy, dodając że Moskwa nie zaniedba czuwać troskliwie nad drogocennym pomnikiem najpierwszego narodowego wieszcza. W tejże chwili spadły osłony i pomnik ukazał się tłumowi widzów, powitany pełnemi zapału okrzykami. Obecne deputacye zarzuciły pomnik wieńcami. Następnie udano się do świetnie przybranej auli uni-

wersytetu, gdzie miały miejsce odczyty poświęcone pamięci poety.

Uroczystość zakończyła się ucztą wydaną przez miasto dla 260 zaproszonych osób.

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

1 Lipca 1880 r.

Świat paryzki wybiera się do wód i kąpieli morskich; w magazynach wielki ruch; mnóstwo nowości zjawiło się w ciągu dwóch ostatnich tygodni.

Pekin w paski, tak używany jeszcze w zimie postradał nagle wziętość, wyprzedają go za bezcen w magazynach tutejszych: fulary i perkale w rzucik z drobnych kwiatków lub w muszki utrzymują się jeszcze, lecz przeważa nad niemi fular *Surrah* w szeroką krytę w kolorach jaskrawych na tle szarem lub ciemnem. Ukazała się także lekka tkanina w kratę, zwana *batiste madras*. Widzieliśmy taką suknię na tle szarem w kratę lilla, zieloną i ciemno caroubier. Spódniczka do ziemi, miała wolant plisowany szeroki blizko na łokieć, krajany ukośno. Z przodu szedł drugi wolant tej samej szerokości, sięgający do samego stanika. Od boków do tyłu przechodziła nie wielka draperya, kończąca się po nad wolantem. Stanik do tego gładki obcisły, przedłużony w tyle i z przodu, podcięty był mocno po bokach. Główną ozdobą tego świeżego kostiumu, stanowiły pukle ze wstążki atłasowej wązkiej na dwa cale, w kolorach zielonym, lilla i caroubier. Trzy pęki tych pukli podpinały spódniczkę; jeden spadał na przód od stanika, dwa pomieszczone były na mankietach.

Drugi strojniejszy kostium spacerowy, z fularu w drobne prążki; różowe i ciemno porzyczkowe, miał też spódniczkę z szerokim na łokieć wolantem, lekko przymarszczonym; z przodu szedł nad nim drugi wolant. Polka z tegoż samego fularu, otwarta na przodzie, krótsza cokolwiek od spódniczki, przepasana była na biodrach szeroką szarfą z fularu porzyczkowego, tworzącą z tyłu wielką kokardę z długiemi końcami, powyżej stanik obciśnięty był paskiem, spiętym na sprzączkę złotą. Z pod otwartego stanika wyglądała szmizetka z fularu porzyczkowego, wycięta i przymarszczona *à la vierge*. Dopełniał ubrania wielki kołnierz batystowy, otwarty z przodu, ogarnirowany koronką. Szorokie mankiety batystowe, odwinięte na rękaw, zakończone również koronką, sięgały prawie do łokcia. Kapelusik do tego słomkowy, podbity fularem porzyczkowym, przystrojony był pękiem piór tegoż koloru, z różowemi czubkami.

Trzeci kostium czarny z fularu *Surrah*, miał spódniczkę z szerokim wolantem, objętym czarną blądyną hiszpańską. Przód cały namarszczony, tworzył fartuszek ogarnirowany blądyną. Na gładkim staniku, upięta była chusteczka z odpowiednim garnirunkiem. Od stanika na tył spódniczki, spadała draperya fularowa, ułożona fantastycznie. Pukle z wązkiej wstążki atłasowej czarnej dopełniały ubrania.

Uważaliśmy jeszcze pare bardzo ładnych kostiumów fularowych, przeznaczonych do wód na rano. Jeden z gładkiego fularu szafirowego, składał się ze spódniczki z polki i okrągłej peleryny spadającej poniżej pasa. Szeroki wolant u spódniczki objęty był plisą z gładkiego popielatego fularu. Polka szafirowa miała przody odwinięte po bokach, z popielatym podszyciem. Peleryna z popielatą plisą ładnie dopełniała całości. Do tego kostiumu przygotowano kapelusz kardynalski, z okrągłą główką i szerokim brzegiem, ze słomy popielaty; całą ozdobę jego stanowił gruby sznur szafirowy, otaczający główkę, z przewiązanym w tyle węzłem i bogatemi kwastami. Rondo podbite było fularem szafirowym.

Inny takiż sam kostium z gładkiego fularu szarego, miał plisy brązowego koloru. Ten kolor bardzo dziś modny zowie się *hanéton*, czyli chrabąszczykowym.

Moda tegoroczna upodobała sobie nietylko ów kolor ale i owady od których wziął nazwisko. W jednym z wielkich magazynów widzieliśmy atłas drukowany, przeznaczony na tuniki do sukien; deseń składał się z zielonych liści i traw po których łaziły chrabąszcze.

Inna niemniej dziwaczna moda, upodobała sobie zwierzęta wcale nie estetyczne. U jubilerów tutejszych pełno widzimy złotych lub srebrnych branzoletek—złożonych z kilku cienkich obręczy—spojonych razem maleńką świnką. Zowią je *porte chance*: mają przynosić szczęście. Panowie, którzy nie noszą bransoletek, a chcą przecież zakosztować szczęścia, noszą u krawatów szpilki z maleńkiemi świnkami.

Mówiliśmy o modach przeznaczonych na wody, powiedzmy teraz o modzie upowszechnionej w Paryżu. Na ulicach widzimy jasne piaskowe surduciki z bardzo lekkiego sukienka, sięgające do kolan, spięte na dwa rzędy guzików: podobne zupełnie do surdutów męzkich. Kołnierzyk do tego gładki płócienny, podniesiony w górę, podwiązany wąziuchną krawatką z czarnego lub białego atłasu jaką zwykle noszą mężczyźni. Kapelusik okrągły ze słomy brązowej lub czarnej—ozdobiony pęczkiem piór w odpowiednim kolorze, — dopełnia tego pół męzkiego ubrania.

Do nowości tegorocznych należą mantylki przezroczyste z gazy w rozmaitych kolorach, w wielki broszowany deseń, w tyle przechodzące poniżej pasa, z przodu ścięte w róg jak chusteczki. Zdobią je zwykle frendzlą. Deseń bywa tegoż samego koloru jak tło gazy. Widzimy te mantylki w kolorach: złotym, lilla, blado niebieskim, białym i caroubier. Czarne przeznaczone dla starszych osób, mają zazwyczaj długie końce ścięte czworograniasto.

Parasoliki fularowe i perkalikowe w jaskrawych kolorach, używane będą powszechnie do wód i kąpieli morskich; widzimy takież same wachlarze ogromnego rozmiaru. W Paryżu przyjęto parasolki atłasowe w kolorach: szafirowym, brązowym lub czarnym, bogato ozdobne frendzlą albo koronką.

Zarzucone od lat trzydziestu woreczki do schowania chustki i innych drobnostek, zaczynają się coraz częściej pojawiać. Zdobią je wstążką, koronką, piórami i t. p. Nie wiemy czy ta moda utrzyma się, powiedzmy jednak, że przy dzisiejszych wązkich sukniach, nie pozwalających na wypchanie kieszonki; zdaje się być dosyć praktyczną.

Kaftaniczki jedwabne trykotowe w formie kirysa bez rękawów, bardzo modne, nie na ulicę lecz do większego ubrania. Czarne naszywają dżetem, kolorowe zaś błyszczącemi paciorkami w odpowiednim odcieniu.

Na jesień wielkie magazyny przysposabiają trykoty wigoniowe w ciemnych kolorach, na paltociki i kaftaniki. Teraz jeszcze nie pora na nie. Widzimy tylko mnóstwo chusteczek i pelerynek trykotowych, na chłodne wieczory do morza, kolor caroubier przemaga w nich nad innemi. Strojniejsze od tych pelerynki z siatki sznelowej, czarnej lub ciemno pąsowej, powszechnie tu będą przyjęte.

W obuwiu panuje wielka rozmaitość; miejsce bucików zastępują powszechnie głębokie trzewiki z żeberkiem spiętym na srebrną albo stalową sprzączkę. Do tych otwartych trzewików przygotowano pończoszki ze szkockich nici, w rozmaitych kolorach stosownych do kostiumu. Jedne z nich ażurowe, inne drukowane w kwiatki, muszki lub inny deseń; inne znów bogato zahaftowane. Podobne obuwie przyjęte będzie do wód lub kąpieli morskich. W Paryżu widać tylko wysokie buciki skórkowe lub też pruneiowe.

Fular niewarowego koloru, mniej dziś używany na suknie i kostiumy, jak bywało w poprzednich latach. Robią z niego za to płaszczyki na wierzch, zwane *cache poussière*, zabezpieczające latem od kurzu. Także płaszczyki z angielskiej nieprzemakalnej alpagi, ogólnie też przyjęte do podróży.

W kołnierzykach nie ma nic nowego. Na ulicy widać tylko wysokie z prostemi lub nieco odwiniętemi rożkami. Do ubrania najmodniejsze zawsze fryzki koronkowe, przybrane bogatym żabotem lub sztucznie ułożoną kokardą, z koronki i żółtawego fularu. Koronka ma zawsze odcień żółtawy; białych nie widać wcale.

Redakcya uprasza szanownych ***prenumeratorów*** na prowincyi i w cesarstwie zamieszkałych aby przy nadsyłaniu dalszej prenumeraty, żądaniu zmiany adresu, czynieniu reklamacyi, i t. p. zechcieli dołączać kartkę adresową, na opasce odbieranego *pisma* naklejoną, a to celem uniknięcia omyłek wynikających, bądź to z przyczyny nieczytelnego podpisu, bądź też z powodu wielu jednakowych nazwisk.

Nadesłanie rzeczonej kartki, jako opatrzonej numerem miejscowej kontroli usunie wątpliwości i zapobiegnie takowym omyłkom.

Do dzisiejszego N-ru **Tygodnika Mód** dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава 25 Іюня 1880 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 28 r. 1880.

W JESIENI ŻYCIA.

PRZEZ

Klarę de Chandeneux.

przekład

K. P.

(Dalszy ciąg).

Zwykle nie przebywała dwóch zim w jednej okolicy; lubiła przerzucać się z Florencyi do Wiednia, z Rzymu do Konstantynopola lub do Egiptu.

Niekiedy zadawano sobie pytanie, — bo gdzież nie ma ciekawych którzyby chcieli wiedzieć wszystko,—w jakiej epoce życia rozpoczęła swoje podróże. Jeszcze tak młoda a przebiegła już przestraszające swym ogromem przestrzenie, zwiedzała tyle krajów że mogłaby nazwiskami znanych sobie miejscowości zapełnić słownik jeograficzny. Złośliwi odpowiadali na to przypuszczeniem, że pierwsze swe podróże mogła odbywać na rękach mamki.

Robert nie zastanawiał się nad tem wcale; bez wahania, z całym zapałem młodości, złożył wszystkie swe nadzieje szczęścia w tej kapryśnej istocie.

Skoro Cezaryna domyśliła się tego, uznała że biedny chłopiec powinien odpokutować za swoją nieśmiałość. Drażniła jego miłość własną, podbudzała próżność, rozdmuchiwała uczucie, ośmielała marzenia, tak bawiła się przez całą zimę, a potem kiedy już znudziła się zabawką chroniącą ją od nudów próżniaczego życia, odtrąciła ją od siebie, zimno, cierpko, mniej nawet grzecznie jak to czynić zwykła zazwyczaj w podobnym razie.

Wszakże i dla niej samej nie było to miłem; nie lubiła uciekać się do stanowczych środków, ale zbyt dobrze oceniła charakter najzacniejszego ze swych wielbicieli, aby mogła obejść się z nim jak z innymi, trzymając go w zawieszeniu; czuła że przez sam wzgląd na szczerość jego uczuć powinna mu odmówić stanowczo.

— Szkoda! pomyślała, pan de Madiran jest dobry, szlachetny, pełen ufności, i pochodzi z pięknej familii... Gdybym nie była skazaną na pozostanie na zawsze wdową, byłby to właśnie mąż jakby wybrany dla mnie, ale... ale.. nie myślmy już o tem.

A ponieważ ta piękna kobieta posiadała dar nie kochania nikogo prócz siebie, więc też rzeczywiście nie myślała o tem więcej, i kiedy Robertowi gorzkie wspomnienia tak niedawnej jeszcze przeszłości spędzały sen z powiek, ona zapomniała już o wszystkiem, i układała spokojnie w myśli, gdzie i jak przepędzić zbliżające się lato.

Pan de Madiran zasnął dopiero późno w nocy, ale też słońce było już dość wysoko kiedy się obudził nazajutrz rano.

Nie umiał jeszcze dobrze zdać sobie sprawy z tego gdzie się znajduje, kiedy w przyległym pokoju rozległ się głos basowy:

— Jakto! śpi jeszcze?... No! to go nie budźcie; kto tak jak on wczoraj użył przymusowej kąpieli, dla wyratowania mojej siostry tonącej w Żyrondzie, ma prawo wywczasować się dobrze.

— Rovelou! zawołał ucieszony Robert.

Kapitan przybiegł natychmiast i uściskał Roberta przyciskając go do piersi z całej siły.

— Ach! panie Madiran, już od wczoraj pragnąłem uścisnąć pana! Przebacz mi ale nie miałem siły oprzeć się tej chęci; inaczej nie umiem okazać mej wdzięczności!

— Okazujesz ją bardzo wyraziście, odpowiedział Robert śmiejąc się serdecznie, nawet w najdłuższej przemowie nie mógłbyś zamieścić równie silnych dowodów.

— O! tak, panie Robercie, musiałbym mówić bardzo długo aby ci dostatecznie podziękować... wynurzyć...

— Nie mówmy już o tem; spłaciłem tylko dług wdzięczności, i jestem bardzo zadowolniony z wczorajszego dnia.

— A jak uszczęśliwiona jest moja matka!... doprawdy aż rozkosz patrzeć dziś na nią. Zachwycona tobą panie Robercie, Ludwika przepada także za tobą... a panna Emelina wesoła jak ptaszek.

— Kto taki? zapytał Robert udając że nie dosłyszał.

— Panna Emelina, którą widziałeś wczoraj, panie Robercie, i która musiała zwrócić twoją uwagę, bo przecie około tego ślicznego kwiatka nie można tak przejść jak koło innych dziewcząt z tej wioski.

— Rzeczywiście panna Emelina nie podobna do nich wcale. Matka twoja może się poszczycić taką wychowanicą.

— Która ją kocha bardzo, równie jak Ludwikę!

— Czy też nie kocha czasem trochę i kapitana Rovelou? zapytał żartując Robert, sądząc że w dłuższej rozmowie potrafi dowiedzieć się jakich szczegółów dotyczących Emeliny.

— Nie wiem doprawdy czy może kochać takiego starego marynarza jak ja?... Ale kto wie zresztą?... to takie złote serce! odpowiedział dobrodusznie kapitan.

— O! z pewnością panna Emelina musi przenosić na brata cząstkę tego uczucia którem darzy siostrę, a powiedziała mi wczoraj że Ludwika jest dla niej więcej niż matką.

— I powiedziała to słusznie, rzekł poważnie Rovelou.

— Mam nadzieję że panna Emelina nie zechce ukrywać przedemną dowodów poświęcenia Ludwiki, które muszą być niezwykłe, sądząc z tego jej wyrażenia się: „więcej niż matka,“ które nie może przejść niespostrzeżenie.

— Być może. Wprawdzie panna Emelina nie lubi o tem mówić, ale nie jesteś już dla niej kimś obcym, panie Robercie, zostałeś od razu przyjacielem. Jeżli tak życzysz sobie poznać dzieje jej życia to ci je opowie sama, lub pozwoli opowiedzieć Ludwice.

— Więc bez jej pozwolenia, Ludwika niceby mi nie powiedziała?

— Nie z pewnością, z obawy aby nie zrobić przykrości temu kochanemu dziecku.

— Ależ to despotka, jak widzę, z tej milutkiej panny Emeliny.

— To nasze szczęście i przedmiot naszej dumy, panie Robercie. Należy prawie do naszej rodziny, i ocalając życie Ludwiki zasłużyłeś równie na jej jak i na naszą wdzięczność.

Tak rozmawiając wyszli z domu Toulousse'a, który stojąc we drzwiach kłaniał się nizko. W jego oczach pan de Madiran nabrał nowego uroku, przez to że zostawał w przyjaznych stosunkach z taką znakomitością miejscową jak kapitan Rovelou.

Rozmowa przeszła na inny przedmiot mniej zajmujący dla Roberta, ale dogodniejszy dla kapitana obawiającego się powiedzieć zawiele.

Zaczął opisywać wzruszenie wszystkich passażerów, zachwyt dam, pochwały panów wywołane odważnym czynem pana de Madiran. Następnie uwiadomił że inspektor Towarzystwa żeglugi, któremu opowiedział wszystko zaraz po przybyciu do Royan, nietylko że nie udzielił mu nagany za to lekkie przekroczenie przepisów, które o mało nie stało się tak zgubnem dla Ludwiki, ale jeszcze upoważnił go do udania się wcześniej o kilka godzin do Accroches, dla podziękowania panu de Madiran za ocalenie siostry.

Korzystając z pozwolenia, Rovelou wsiadł równo ze świtem na statek płynący w górę Żyrondy i przybył do domu, ciesząc się nadzieją przebycia tak szczęśliwego dnia jakich mało mógłby naliczyć w życiu. Kochana matka, Ludwika, panna Emelina i pan de Madiran, zebrani razem pod jego dachem!... A! jakież to szczęście!

Zacny kapitan któremu obowiązkowe zajęcia pozostawiały mało wolnego czasu, cieszył się jak student przybywający na wakacye do rodzinnego domu. Robert wzruszony jego wdzięcznością i uszczęśliwiony szczęściem przyjaciela, zgodził się chętnie na wyrażone mu życzenie aby pozostał kilka godzin dłużej.

— Wiwat! zawołał kapitan jak tylko z daleka dostrzegł stojącą w altanie Ludwikę, wiwat!... pan de Madiran pozostanie dziś z nami.

W miejsce odpowiedzi dał się słyszeć stłumiony ale pełen zadowolnienia okrzyk „ah!“ nie zdający się wychodzić z piersi Ludwiki, która ruchami rąk i głowy objawiała swoją radość. A choć jednocześnie błękitna sukienka mignęła między bluszczami, Robert i bez tego mógł się domyśléć że jego obecność była dla wszystkich przyjemną.

Zastawiono śniadanie w altance której całą ozdobą była świeża zieloność i rozległy widok na Żyrondę i jej brzegi. Szybkie łodzie i cięższe, powolniejsze statki kupieckie, ukazując się w dali były podobne do suchych liści rzuconych na wodę, potem zwiększały się stopniowo, przybierały wyraźniejsze kształty, a nakoniec powiewając białemi żaglami, przesuwały się tuż przed oczyma.

Ten obraz tak dobrze znany mieszkańcom Accroches, przyciągał jeszcze ku sobie myślące spojrzenia panny d'Anglejean; Robertowi spodobał się także bardzo i zamieniali z sobą często spostrzeżenia co do zręczności i szybkości ruchów snujących się statków.

Emelina przyznała że to jest najładniejszy i najwięcej ożywiony widok jaki można znaleźć w Accroches, co dozwoliło Robertowi zadać pytanie czy nie tęskni za jakimś innym.

— Nie, odpowiedziała swobodnie; z Paryża wyniosłam tylko wspomnienie ogłuszającego turkotu, w Rzymie poznałam jeden kościół, a w Bordeaux

nie widziałam nic prócz portu, w którym zawsze wsiadam chętnie na statek, aby wrócić do mego cichego schronienia.

Stali teraz wspierając się na nizkim murze otaczającym mały ogródek. Ludwika wraz z matką sprzątała ze stołu, a kapitan wysunął się nieznacznie wyciągając z kieszeni bardzo już poczerniałą fajkę, której nie śmiał zapalić przy Emelinie.

Robert zadrżał lekko gdy wymieniała Paryż i Rzym; przyszła mu zaraz na myśl kreolska piosenka.

— D'Anglejean! pomyślał, jakiż dziwny fatalizm kazał mi znów spotkać osobę należącą do tej rodziny?... Paryż... Rzym... hrabina Cezaryna mówiła często o Rzymie, a zawsze o Paryżu.

Pytanie które od wczoraj wybiegało mu na usta, teraz tak natarczywie z nich się wyrywało, że nie mógł powstrzymać go dłużej.

— Tak nazwisko pani, jak wspomnienie miast w których pani przebywała czasowo, każą mi się domyślać pokrewieństwa jej z pewną bardzo dystyngowaną osobą, u której miałem zaszczyt bywać w Bordeaux, i której dom należy tam do najarystokratyczniejszych.

Emelina nie okazała najlżejszego zadziwienia, i odpowiedziała spokojnie:

— Nazwisko moje liczy nader mało przedstawicieli.

— Tak mało, odezwał się Robert, że zadziwiłem się usłyszawszy je tu wczoraj.

— Mnie także dziwi że Ludwika wymieniła je panu; nie czyni tego zwykle.

— Zapewnie skłania ją do tego życzenie pani?

— Bynajmniej, jest to skutek nawyknienia. W Accroches wszyscy nazywają mnie tylko panną Emeliną, bo dla tych pełnych prostoty ludzi, dla których przywileje szlachectwa małą posiadają wartość, to imię nie ustępuje w niczem wszelkim tytułom na świecie.

— Ale pani ma krewnych w Bordeaux.

— Tak, panie.

— Panią hrabinę d'Anglejean?

— Rzeczywiście.

— Zechciej mi pani wybaczyć tak nienasyconą ciekawość, ale pragnąłbym wiedzieć jaki stopień pokrewieństwa istnieje między panią i hrabiną d'Anglejean?

Chmurka niezadowolnienia ukazała się na czole młodej dziewczyny, ale odpowiedziała poważnie i łagodnie.

— Pani d'Anglejean jest moją matką.

Robert podskoczył, a potem rzekł z uśmiechem:

— Mówię o hrabinie Cezarynie d'Anglejean, młodej wdowie której piękność...

— Jestem córką hrabiny Cezaryny d'Anglejean, z domu de Gontas, kreolki z Gwadelupy, i hrabiego Wiktora d'Anglejean, zmarłego kiedy jeszcze byłam w kolebce.

VI.

Pan de Madiran musiał zawezwać całej swej władzy panowania nad sobą, aby nie powiedzieć że to co usłyszał nie może być prawdą; potrzeba mu także było paru minut czasu, zanim przyszedł do siebie po otrzymaniu tak bolesnego ciosu, który ugodził go w samo serce.

— Jej córka!... córka!... wybąkał zwracając na Emelinę zdumione spojrzenie.

— Nigdy nie przypuściłby pan coś podobnego, wszak prawda? zapytała uśmiechając się smutno; matka moja jest tak piękną! świeżą! wydaje się tak młodą!... Możnaby powiedzieć że jestem potwornie samolubną, skoro będąc już dorosłą panną ośmielam się przyznawać że jest moją matką.

W głosie jej nie było goryczy ani też ironii, znać było że czuje to co mówi.

— Panno Emelino, odezwał się Robert jeszcze odurzony, oskarżając siebie, oskarża pani także...

— Nie, nie, niech pan nie tłómaczy sobie niewłaściwie słów moich; nie obwiniam nikogo i nie uskarżam się wcale. Zdaje mi się że byłoby lepiej dla mnie gdybym wcale na świat nie przyszła, i prawdopodobnie nie ja sama tylko tak myślę, ale skoro już znajduję się na nim, staram się przynajmniej sprawiać jak najmniej kłopotu.

— To jest, że jeżeli pani żyje tak zdala od świata,—to...

— Jedynie z własnej woli; tak panie.

— Więc gdyby pani oświadczyła dziś naprzykład że życzy sobie mieszkać w Bordeaux?...

— Mogłabym się tam udać jutro... prawdopodobnie.

Pan de Madiran był silnie wzburzony; nigdy równie niespodziewana wiadomość nie spadła na mniej przygotowane do uwierzenia w nią serce. Wzrok go omylił, niech i tak będzie: ta zachwycająco piękna kobieta, której nieprzyjaciele nawet nie poważyliby się dać więcej nad trzydzieści lat, posiadała dar do zachowania wiecznej młodości. Umysł jego został obałamucony, i to być może: ta pełna dowcipu istota mogła posiadać dar oślepiania, zamącania zdrowego sądu o rzeczach. Ale jakimże sposobem dusza jego mogła nie przeczuć że pod tą ponętną powierzchownością nie było duszy? Jakże mogło nie zwrócić to jego uwagi że ta matka nie wspominała nigdy o swej córce.

Stał blady, zmieszany pytającem spojrzeniem Emeliny, która nie pojmowała czemu ma przypisać jego wzruszenie, i nie wiedziała jakim sposobem je uspokoić.

Rovelou który właśnie ukazał się na drodze przyszedł jej na pomoc. Spojrzawszy, przez kłęby dymu unoszącego się z krótkiej fajeczki, ku altance dostrzegł bladość na twarzy Roberta, i niespokojność malującą się w oczach Emeliny.

— Do tysiąca miliardów głów murzyńskich! mruknął, oto dwoje młodych nie mogących się jakoś porozumieć z sobą. Śmieszna rzecz doprawdy

W jednej chwili schował fajkę do kieszeni, otarł usta z najsilniejszem przekonaniem że już nie będzie czuć od niego tytoniowego dymu, i wbiegł szybko po schodkach wiodących do ogrodu.

— Cóż to ja widzę! zawołał stając przed nimi; panna Emelina zdaje się smutna, a ty, panie Madiran, wyglądasz tak jak gdyby ci się ster roztrzaskał o podwodną skałę?

— Ale zdaje ci się tylko kochany Rovelou, rzekł Robert usiłując przybrać spokojną postawę.

— Ja nie mogę pozwolić na to, panie Robercie, aby w mojej chacie spotkała cię jakaś przykrość.

— Przykrość... Mylisz się zaręczam ci... Panna d'Anglejean była łaskawą uwiadomić mnie... nie wiedziałem że jest córką...

— Aa! rozumiem! to sprawiło takie wrażenie... Wszak prawda..., To dopiero śliczna matka, która miłuje więcej bale i stroje niżeli...

— Mój dobry kapitanie, proszę cię, nie sądź tak surowo mojej matki... Tem mniej mamy do tego prawa że ja także względem niej czuję się winną.

Kapitan aż odskoczył pod wpływem zadziwienia.

— Czujesz się winną, panno Emelino!... A jakież są te twoje winy?... Czem mogłaś zmartwić hrabinę?.. Zapytaj tylko pana de Madiran, a zapewni cię że te zmartwienia, które ma z twego powodu, nie przeszkadzają jej być świeżą, pulchną, wesołą i odmładniać co rok o dwanaście miesięcy.

— Nieszczęśliwy zbieg okoliczności sprawił, rzekła poważnie Emelina, że będąc dzieckiem jeszcze sprawiłam matce mimowolną przykrość, kiedy po przebyciu ospy z ładnego dziecka, które byłaby kochała, stałam się dziobatą, niemiłą dla jej oczu dzieweczyną. Później już dobrowolnie zasłużyłam na jej niechęć, przyswajając sobie wyobrażenia i przekonania religijne których ona nie podzielała. Widzisz więc mój zacny przyjacielu że oskarżałam się słusznie.

— Przebacz, panno Emelino, ale to co mówisz nie zgadza się z mojem przekonaniem; znam cię już lat ośmnaście, i mógłbym przytoczyć wiele rzeczy na twoją pochwałę, a nic przeciwko tobie.

Robert w ciągu tej rozmowy odkrywającej mu szczegóły tak zarazem przykre i zajmujące dla niego, zdołał wreszcie zupełnie zapanować nad sobą. Zbyt interesowany osobiście w tem co usłyszał aby mógł poprzestać na lekkiej tylko wzmiance, prosił panny d'Anglejean aby mu wybaczyła że ośmiela się błagać ją aby mu opowiedziała dzieje swego życia; że jakkolwiek mogłoby się zdawać iż nie ma prawa domagać się takiej łaski, nazwisko d'Anglejean tak było związane z pewnemi wypadkami jego życia, że do otrzymania jej przywiązuje bardzo wiele wagi.

— Panie de Madiran, odpowiedziała Emelina spokojnie i z godnością, gdybym nie chciała panu udzielić więcej szczegółów nad te które pan już usłyszał, mogłoby się zdawać że upoważniam pana do surowego sądu o przywiązaniu i uczuciach rodzicielskich mojej matki, które jakkolwiek nie objawiają się na zewnątrz w ten sposób jak to widzimy zwykle; istnieją wszakże niezawodnie, chętnie więc opiszę panu moje ciche i spokojne życie, w ciągu którego doznałam tak wiele dowodów poświęcenia od moich nieocenionych przyjaciół.

— Tak, panno Emelino, odezwała się wzruszonym głosem Ludwika, która zbliżywszy się niespostrzeżona słyszała całą tę rozmowę, w której córka starała się koniecznie usprawiedliwić postępowanie swej matki, możesz mówić co ci tylko serce podyktuje na pochwałę naszą, bo zresztą pod tym względem trudnoby mu było nakazać milczenie, ale ja także późniéj powiem dla czego cię tak kochamy że dla twego dobra chętnie pozwolilibyśmy posiekać się na kawałki, wszyscy jak tu jesteśmy, tak wszyscy jak tu jesteśmy.

Zmieszana i zarumieniona Emelina, starała się w żart obrócić, to pełne uniesienia oświadczenie, zwracając jej uwagę że uniesiona zapałem zapomniała iż pan de Madiran, znający ją tak mało, byłby także zmuszony, na mocy ogłoszonego przez nią wyroku, zezwolić na to aby go posiekano na drobne kawałki.

Wszyscy roześmieli się szczerze, a Robert oświadczył, że jakkolwiek nie zasłużył jeszcze na to aby mu wolno było dawać jej tak jawne dowody poświęcenia, to jednak wszystko co jej dotycze budzi w nim najżywsze zajęcie. W końcu, jakby chcąc wytłomaczyć się z tego co mówi dodał, że tyle miłych chwil przepędził w salonie hrabiny d'Anglejean, iż wszystko co ją obchodzi tak blizko budzi w nim najsympatyczniejsze uczucia.

Słońce było już wysoko, i gorąco zachęcało do szukania schronienia w cieniu altanki. Robert pomyślał właśnie o tem, kiedy Emelina weszła do

niej i pełnym wdzięku ruchem wskazała swym towarzyszom miejsce na ławeczce obok siebie.

— Skoro pan zna moją matkę, rzekła, łatwo było panu ocenić jej niezwykłą piękność i zalety jej umysłu. Niech więc pan wyobrazi sobie jak musiała być zachwycającą ośmnaście lat temu, to jest przed moim urodzeniem.

— Osiemnaście lat temu! powtórzył Robert, który dotąd był przekonanym że hrabina nie przekroczyła jeszcze granicy wiosny życia.

— Tak, matka moja miała zaledwie piętnaście lat idąc za mąż, a...

— A ty moje dziecię urodziłaś się w kilka lat później, przerwała Ludwika. Następnie dodała z prawdziwie wieśniaczą szczerością: Czemu to nie powiedzieć wyraźnie że hrabina d'Anglejean już zbliża się do czterdziestki; wygląda tak dobrze i świeżo na swoje lata, że nie ma potrzeby ich ukrywać.

— Tak, można ją nazwać śmiało pięknym jesiennym owocem, dodał Rovelou.

Robert nie śmiał wierzyć własnym oczom, w jego oczach, równie jak w wielu jeszcze innych, Cezaryna nie miała wiele więcej nad dwadzieścia lat.

— Mniejsza o to, rzekła Emelina, a potem mówiła dalej: Przyjście moje na świat ucieszyło bardzo mego ojca, pomimo że pragnął mieć syna, któremuby mógł przekazać nazwisko powszechnie szanowane w koloniach. Matka przestraszona wątłą moją budową, powierzyła mnie, w czasie swej podróży w te strony, staraniom czerstwej wieśniaczki z Accroches, tej właśnie której zawalone mieszkanie pokazywałam panu wczoraj. Było to zapewnie poświęcenie, do którego zmusiła moich rodziców troskliwość o moje zdrowie, i nie okazało się próżnem, bo dzięki ożywczemu powietrzu tej wioski, stałam się wkrótce czerstwem i żwawem dzieckiem.

„Ojciec mój nie cieszył się tem długo. Zakończył życie odwiedziwszy zaledwie parę razy swą małą córeczkę. Matka przebyła czas żałoby w Egipcie, następnie pojechała do Jerozolimy i z tego powodu nie widziałam jej bardzo długo. W tym przeciągu czasu, o mało co ospa dziesiątkująca ludność w całej okolicy i mnie także nie pozbawiła życia. Jak tylko matka moja powróciła, kazała przywieźć mnie do siebie, a widząc mnie tak zeszpeconą zbladła i odwróciła głowę... Potem przyciągnęła mnie nagle tuż do siebie... sądziłam że chce mnie uściskać.. omyliłam się.. przypatrywała mi się tylko bardzo długo, a w końcu zaczęła się gniewać na moją mamkę, że poważyła się podstawiać jej jakąś brzydką ospowatą dziewuchę, w miejsce ładnej dziewczynki którą powierzyła jej staraniom.

„Mamka nie mogła jej zrozumieć, ja tem mniej. Było tam kilku panów którzy usiłowali doprowadzić do porozumienia się moją matkę i moją mamkę; z których jedna zaręczała za moją tożsamość, druga zaś obstawała przy tem że jej zamieniono dziecko, i że mnie nigdy nie uzna za swą córkę.

„Płakałam ciągle podczas tej sprzeczki. Miałam osiem lat.. Zdawało mi się że te małe dołki na twarzy nie powinnyby przeszkadzać matce do poznania swego dziecka, gdyby choroba najstraszniej ją zeszpeciła, ja byłabym odgadła że to ona.

— Zresztą, przerwała Ludwika, czy można się pomylić patrząc na takie oczy? Wszak prawda panie, że podobnych oczu nie tak łatwo spotkać na świecie?

Robert spojrzał w łagodne, a zarazem pełne ognia oczy Emeliny, i przyznał w duszy że Ludwika ma słuszność.

— Trwało to długo, bardzo długo... Hrabina obużała się i nie dozwalała się przekonać, jej przyjaciele starali się ją uspokoić, a ja płakałam rzewnie... Niech pan wybaczy, ale ile razy przypomnę sobie to moje wejście do rodzicielskiego domu, nie mogę i teraz jeszcze łez powstrzymać.

Rzeczywiście Emelina przeceniła swe siły, chcąc, dla pokrycia o ile możności niekorzystnej strony charakteru i braku serca hrabiny, opowiedzieć sama swoje dzieje. Kiedy zwróciła się myślą do tych pierwszych boleści swego życia,—tych boleści dziecinnego wieku których nie oceniamy dostatecznie,—rozczulenie przemogło jej dobre chęci.

— Byłam tego pewną, zawołała Ludwika, widząc że kryje w dłoniach swą białą twarzyczkę zroszoną łzami. Mężne ma serce, o! tak mężne! tylko nie trzeba dotykać krwawiącej się rany! Uspokój się moje dziecię, nie wracajmy już do tego smutnego przedmiotu.. nie chcę abyś się trapiła bezpotrzebnie... i pan Madiran także nie chce tego.

Robert wstał, i rzekł kłaniając się Emelinie z najgłębszym szacunkiem.

— Nie mogę sobie wybaczyć że wiedziony pełną współczucia ciekawością, wywołałem wspomnienia tak dla pani bolesne. Dziękuję z głęboką wdzięcznością że mi je pani chciała powierzyć, i pragnę aby mogły zatrzeć się w jej pamięci, jeżli to być może.

Podniosła śliczne oczy jeszcze zroszone łzami, i rzekła z uśmiechem smętnym ale bez goryczy:

— Musi pan teraz przyznać że matka moja miała słusznośc pozostawiając mnie w Accroches, abym tu nabrała więcej siły, skoro pomimo tak ożywiającego powietrza, najtkliwszych starań moich nieocenionych przyjaciół i zdrowego pożywienia, jestem jeszcze śmiesznie słabą i drażliwą.

Żartowała z samej siebie, ale w jej śmiechu czuć było smutek. Dobre serce kapitana natchnęło mu myśl stanowczego przerwania tak przykrej dla niej rozmowy.

— Dla tego też, zawołał wstając, widzę się zmuszonym wystąpić w charakterze doktora. Zabraniam wszelkich smutnych rozmów i myśli... nakazuję dużo ruchu i wesołości. Przejedźmy się trochę czółnem.

Zacny marynarz nie pojmował większej przyjemności nad przejażdżkę po rzece, w dzień tak pogodny. Kiedy jednak przedstawiono mu że słońce zbyt dopieka aby podobny spacer mógł być przyjemnym, zaproponował aby wszyscy udali się z siecią i wędkami do małej przystani, w której ryby z prawdziwą dobrodusznością chwytają wędkę i wpadają w sieci.

— Bo też nie nadużywamy ich łatwowierności, odezwała się Ludwika; łowimy je tam zaledwie parę razy na rok.

Potem szepnęła do ucha Robertowi:

— Opowiem panu wszystko dziś wieczorem, skoro inni udadzą się na spoczynek.

Dzięki tej obietnicy wycieczka do przystani wydała się Robertowi nader zajmującą, schronienie w domu Toulousse'a bardzo wygodnem, a cały ten dzień nader przyjemnym.

Widział z prawdziwem zadowolnieniem, że łzy wywołane przez niego mimowolnie, przestały spływać po licach Emeliny, a na usta wrócił uśmiech, ale zawsze jakby przyćmiony, jak zwykle uśmiech osób które wiele przecierpiały. Pobiegła do domu, zdjęła sieci i wędki zawieszone na ścianie, napełniła koszyk owocami i poszła naprzód z kapitanem przewodniczącym wyprawie.

Do błogiego spokoju jakim pobyt w Accroches zaczął napełniać serce Roberta, przyłączyło się teraz jakieś nieokreślone uczucie gniewu przeciwko hrabinie, szyderstwa względem siebie, litość dla tego miłego dziewczęcia, które nie wiedząc o tem, wskazało mu jaką o mało co nie okrył się śmiesznością.

On miał dwadzieścia pięć lat... Cezaryna d'Anglejean czterdzieści!... Jakże ci nawet, którzy dotąd podzielali jego złudzenia, wyśmiewaliby się z jego łatwowierności, dowiedziawszy się o rzeczywistych jej latach. Ci znów którzy wiedzieli o tem już teraz mieli prawo posądzić go o chciwość. Cezaryna była bogatą jak wszystkie kreolki posiadające wielkie plantacye, które pomimo złych stosunków z murzynami, przynoszą bajeczne dochody.

Drżał myśląc o przepaści w którą o mało co nie wtrąciło go zbłąkane serce. Cezaryna powstrzymała go nad jej brzegiem swą zimną ręką. Co ją do tego skłoniło? Wyrzuty sumienia, obojętność, czy też obawa uczynienia niezbędnego wyznania?

Przypomniał sobie że wspominając niekiedy o swem dziecku którego nigdy przy niej nie widziano, wyrażała się: „Moja córeczka," i wszyscy sądzili że ta córeczka nie mogła mieć więcej nad pięć lub sześć lat.

Teraz ta którą przedstawiano sobie jako dziecko szła przed Robertem lekuchna jak unosząca się nad wodą ważka o szmaragdowych skrzydłach, wysmukła jak topola, z sercem pełnem pobłażliwości dla tych którzy nie umieli jej kochać, a czułości dla tych którzy ją kochali: i Robert ścigał ją wzrokiem pełnym szacunku i rozczulenia.

Nad brzegiem przystani nie brakowało cieniu i zieloności, mnóstwo ryb pluskało w wodzie. Pozakładano przynętę na wędki, zarzucono sieci, i wkrótce obfitym cieszono się połowem. Emelina własną ręką wybrała i wpuściła napowrót do wody drobniejsze, a Robert byłby jej chętnie podziękował za ten dowód dobroci serca.

Wrócili do domu rozmawiając wesoło, ciągnąc za sobą po piasku zmoczone sieci.

O, jakże dzień minął szybko i przyjemnie w tym cichym zakątku, nieznanym tłumom próżniaczej gawiedzi.

— Jutro rano, rzekł z westchnieniem kapitan, skończą się moje wakacye, i muszę wrócić do zwykłego zajęcia.

— Jutro rano, dodał Robert, oddalę się razem z tobą, ale Accroches pozostanie na zawsze w mej pamięci.

VII.

Po modlitwie wieczornej, Ludwika uprzedziła pana de Madiran lekkiem skinieniem że zamierza dotrzymać obietnicy, na której urzeczywistnienie oczekiwał tak niecierpliwie.

Zamiast udać się zaraz do domu balwierza, usiadł na odłamie skały leżącym przy drodze, i zadrżał prawie z radości gdy nareszcie usłyszał odgłos kroków zbliżającej się szybko siostry kapitana.—Więc nakoniec dowie się o wszystkiem.

— Jaka piękna noc, rzekła Ludwika patrząc na Żyrondę, która oświecona już światłem wschodzącego księżyca, połyskiwała tak jakby jej nurty były utworzone z roztopionej perłowej konchy.

— Bardzo piękna! powtórzył Robert, posuwając się aby jej zrobić miejsce.

— W taką to noc pogodną opuściłam Accroches, aby zająć się wychowaniem mojej drogiej Emeliny, bo w owym czasie tylko w nocy przepływał tędy kupiecki statek, zabierający także uboższych pasażerów. Nie byliśmy wtenczas tak zamożni jak obe-

cnie, a że hrabina zaleciła mamce aby jej wyszukała w naszej wiosce kogoś takiego, coby umiał zabawić płaczące ciągle dziecko,—co było zresztą bardzo naturalnem, po takiem przyjęciu jakiego doznało od matki, — ja podjęłam się tego, raz że wynagrodzenie było dobre, powtóre że równie jak wszyscy mieszkańcy wioski kochałam już to dziecię które wśród nas wzrastało.

„Hrabina chwilowo tylko bawiła w Bordeaux, gdzie nie miała jeszcze ani znajomych, ani własnego domu. Stała w hotelu, namyślając się gdzie ma pojechać, do Paryża czy też do Neapolu. Emelinę zastałam samą w pokoiku, wśród zabawek na które nawet nie patrzyła. Zobaczywszy mnie krzyknęła z radości i tak była wzruszoną że obawiałam się aby nie zasłabła. Widziała we mnie tych wszystkich których kochała, i od których była kochaną.

„Hrabina była w końcu zmuszoną przyznać że jej zwrócono jej własną córkę, ale to chwilowe nieporozumienie pozostawiło na zawsze ślady w jej umyśle. Niekiedy mówiła zupełnie poważnie do otaczających ją osób: „Dziecko które mi zamieniła mamka..." Może bliżsi jej znajomi widzieli w tem ciągłem powątpiewaniu, usprawiedliwienie oziębłości dla córki.

„Emelina bardzo rzadko wchodziła do pokojów matki, i możnaby sądzić że była nie jej ale mojem dziecięciem, Ja wyłącznie zwracałam uwagę na stan jej zdrowia, czuwałam nad naukami i rozrywkami, jeżeli tak nazwać można przechadzki po ulicach miast w których bawiłyśmy czasowo, bo hrabina utrzymywała, że z rozkazu doktorów musi prowadzić ciągle koczujące życie.

„Nieustające podróże stanowiły także wielką przerwę w naukach. W pierwszych latach mogłam być nauczycielką Emeliny, gdyż odebrałam staranniejsze wychowanie nad to które dają zwykle wieśniaczkom, i gdyby choroba ojca nie przywołała mnie do Accroches, byłabym została podochmistrzynią małej pensyi w Blaye. Później prosiłam hrabiny aby postarała się o stosowniejszych nauczycieli dla córki, przyrzekła mi że się tem zajmie, potem zapomniała, a w końcu zezwoliła abym ich sama wyszukała do niektórych przedmiotów. Nieszczęściem, tak często zmieniałyśmy miejsce pobytu, a więc i profesorów, że Emelina pomimo swej pilności nie wiele mogła skorzystać z ich wykładu, i to czego się nauczyła, zawdzięcza głównie swej usilnej pracy, nadzwyczajnej pamięci, i naukowym książkom o które zawsze starałam się dla niej.

„Co do wykształcenia religijnego,—a! panie, smutna to rzecz kobieta bez religii! nie chciałabym za nic w świecie aby moja droga Emelina była pozbawioną tej naszej najsilniejszej podpory... tej naszej nadziei!

— I cóż? zapytał z żywością Robert.

— Hrabina d'Anglejean nie posiada żadnych pojęć religijnych.

Robert niekiedy podejrzywał ją o to, ale nie miał nigdy sposobności powzięcia co do tego stanowczego przekonania. Tak z postępowania hrabiny, jak z jej rozmowy nikt nie potrafiłby wyrobić sobie pod tym względem pewnego zdania.

Trzeba jeszcze dodać,—dla usprawiedliwienia pana de Madiran, że mógł, sam będąc wychowany w zasadach religijnych, nie zbadać tego czy kobieta którą zamierzał poślubić podzielała jego przekonania,—że piękna kreolka umiała bardzo naturalnie przybierać różne maski, nie zrażała żadnych przekonań, i umiała zawsze uniknąć konieczności objawienia swoich.

— Mów dalej, panno Ludwiko, rzekł Robert, gdy ta umilkła widząc że zamyśliła się głęboko

— Widać że hrabina nie posiadająca prawie żadnego wyobrażenia o Bogu, uważała że i córka jej nie potrzebuje o Nim wiedzieć. W każdym razie, obejmując moje obowiązki w jej domu, odebrałam najwyraźniejszy rozkaz aby: nie wpajać w dziecko niepotrzebnej bigoteryi, i nie mówić jej o rzeczach dotyczących religii, dopóki nie będzie w możności ich ocenić i wyrobić sobie pod tym względem własnego przekonania. Odurzona, nie rozumiejąc dobrze do czego się zobowiązywałam, przyrzekłam zastosować się do jej woli, dziecko było jeszcze tak małe!

„Później gdy podrosła, uczułam dopiero jak bardzo zbłądziłam, i prosiłam pani d'Anglejean aby mnie zwolniła z mego przyrzeczenia. Uniosła się gniewem, zagroziła że mnie oddali, i zakończyła oznajmieniem że chce aby córka jej była tak wychowaną, jak ją wychowała babka, — przesiąknięta zasadami Woltera,—że później, skoro dorośnie będzie jej wolno wierzyć w co jej się podoba.

„Nie miałam siły opuścić biednej Emeliny, która w takim razie byłaby skazaną na zupełną samotność. Upływały nieraz całe miesiące, w których hrabina zdawała się zupełnie zapominać o niej. Zdawało mi się że popełniłabym zły uczynek pozostawiając ją tak osamotnioną, a prócz tego kochałam ją więcej niż to wypowiedzieć zdołam!... Pozostałam więc... i nie uczyłam katechizmu z obawy aby mnie nie oddalono. Odmawiała tylko codzień pacierz, którego nauczyła ją mamka; ale machinalnie w skutek nawyknienia, a gdy w niedzielę wymykałam się do kościoła, dopytywała się czemu nie biorę jej z sobą. Cóż jej mogłam odpowiedzieć nie oskarżając jej matki?

Kiedy doszła do lat trzynastu, obojętność hrabiny zmieniła się w jakiś rodzaj cierpkiego niezadowolnienia. Bardzo wysoka na swoje lata, zdradzała wiek hrabiny. Jakkolwiek wzrastając wyładniała, i miała bardzo miłą twarzyczkę, nie była dość piękną aby to mogło pochlebiać dumie matki, nie pozwalała jej też wcale ukazywać się w salonie.

„Byłyśmy wtenczas w Rzymie. Pewnego dnia kiedy wracałyśmy z przechadzki wśród ruin których nawet nazwać nie umiałam, Emelina zwróciła uwagę na sporą gromadkę osób, wchodzących do kościoła za noszami, na których spoczywało chore dziecko. Ciekawa dowiedzieć się po co wnoszą chorego chłopca do tego gmachu, o którego przeznaczeniu zaledwie jakieś słabe miała wyobrażenie, prosiła mnie abym ją tam zaprowadziła. Zgodziłam się tem chętniej że nie narażałam się przez to na gniew hrabiny i na rozłączenie się z Emeliną, którego się tak bardzo obawiałam.

„We Włoszech inne są zwyczaje jak u nas. Chłopczyk ten był kaleką, niezdolnym utrzymać się na nogach, i przyniesiono go do kościoła, aby przystąpił do pierwszej komunii. Rodzice, bracia, przyjaciele i sąsiedzi, towarzyszyli mu chcąc uczestniczyć w tej rodzinnej uroczystości.

„Postawiono nosze tuż przy stopniach ołtarza, i kapłan, sędziwy już starzec, powiedział krótką przemowę do chorego, w którego oczach tylko objawiało się życie.

„Przedstawił mu jakie to niezrównane spotyka go szczęście, że choć jest ubogim i kaleką Zbawiciel świata chce obrać w sercu jego mieszkanie: „Chory, stajesz się szczodrobliwiej uposażony od najszczęśliwszych tego świata; biedny zostajesz bogatszym od najmożniejszych. Ten w którego mocy jest wszystko, może uleczyć twoje ciało!... ale jeżeli nawet nie zechce tego uczynić, to stokroć większem obdarzy cię dobrodziejstwem... Oczyści, oświeci, zbawi twoją duszę!... Czy nie czujesz że w nią wstępuje nowe życie... życie niestworzone... Oto Bóg twój zbliża się do ciebie!... otwórz mu twe serce dziecię!

„Oczy chłopczyka błyszczały jak gwiazdy, i kiedy wszyscy koło niego płakali rozczuleni, twarzyczka jego promieniała szczęściem, jak gdyby nie leżał na łożu boleści.

„Emelina nie płakała także, pomimo że znała o tyle język włoski że zrozumiała słowa kapłana, tylko rysy jej przybrały wyraz jakiego nigdy przed tem nie widziałam, malowała się w nich jakaś obawa połączona z uczuciem radości... oczy błyszczały niezwykłym gniewem. O! panie! to przebudzenie się jej duszy nie wyjdzie nigdy z mej pamięci!... Byłam jego świadkiem, patrzyłam na nie w tym dniu pamiętnym i błogosławionym!

„Po skończonej ceremonii, kiedy już wyniesiono upojonego uczuciem błogiego szczęścia kalekę, szepnęłam Emelinie że już czas wracać do domu. Zamiast jednak pójść za mną, zbliżyła się do kapłana z zadziwiającą śmiałością, i zapytała, jaka to jest ta religja tak pocieszająca dla nieszczęśliwych?

— Jest to religja chrześciańska, moje dziecię, pocieszająca dla nieszczęśliwych a wszystkim potrzebna; więc ty jej nie znasz wcale?

„Przysunęłam się do niej zmieszana, nie wiedząc co mam czynić, ale Emelina nie zważając na moje zakłopotanie zadawała dalsze pytania. Ponieważ bardzo mało mówiłam po włosku nie mogłam wmieszać się do rozmowy, co mnie w dość trudnem stawiało położeniu. Widziałam malujące się na twarzy sędziwego starca głębokie współczucie i zadziwienie, i przykro mi było że nie mogę mu przedstawić prawdziwego stanu rzeczy.

„Emelina prosiła go aby ją nauczył zasad tej wiary która jej się zdawała tak piękną i wzniosłą."

— Bardzo chętnie, moje dziecię, jeżeli na to zezwolą twoi rodzice.

— Matka moja nie będzie się temu sprzeciwiać.

— A więc proś ją o pozwolenie.

— To zupełnie niepotrzebne... nie zabrania mi nigdy uczyć się tego czego nie umiem.

— Jednak jesteś już w tym wieku w którym panienki posiadają już potrzebne pod względem religijnym wiadomości.

Emelina stała czas jakiś milcząca i zamyślona.

— Czy pan często przemawiasz tak do ludzi w tym kościele?

— Codzień rano.

— Więc ja także przychodzić tu będę.

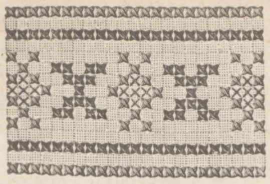
„Ukłoniła się i wyszła nie spojrzawszy nawet na mnie, jakby chciała mi dać poznać że pod tym względem stosować się będzie tylko do swej woli. Gdyśmy jednak wyszły na ulicę dobre jej serce przemogło.

— Nie gniewaj się na mnie, dobra moja Ludwiko; sprawiłam ci przykrość mojem nieposłuszeństwem... ale gdybyś wiedziała jak to co usłyszałam i to co z tego odgaduję wzruszyło mnie głęboko...

— Co takiego, drogie moje dziecię?

— Więc ty się nie domyślasz, że jest jakaś wiara-czy nauka... słowem coś takiego czego ja nie znam wcale, ale co poznać muszę, i co uspokaja, pociesza, i może uczynić z biednego opuszczonego dziecka, dziecko szczęśliwe!...

(d. c. n.)



N 1. Szlaczek wyszyty krzyżykami.

Opis do N-ru 28.

(Dokończenie).

N. 10. Szarfa z perkalu szwajcarskiego z wyszyciem krzyżykowem.

Do białych lub jasnych sukienek dla dzieci noszone są w tym roku praktyczne i ładne szarfy z ponsowego perkalu szwajcarskiego ozdobione wyszyciem krzyżykowem. Długość szarfy wynosi 100—150 cent. stosownie do tego czy opasuje figurę czy też jest tylko przypięta do paska; szerokość wynosi 23 cent. Model przedstawiony na ryc. 10 wyszyty jest białą bawełną; deseń wyszycia znajdą czytelniczki niemal w każdym N-rze Tygodnika Mód.



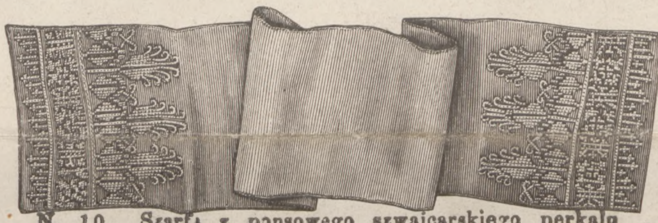
N. 3. Kapotka batystowa dla małej dziewczynki. Patrz ryc. 43.



N. 5. Chusteczka z koronki i wstążki.



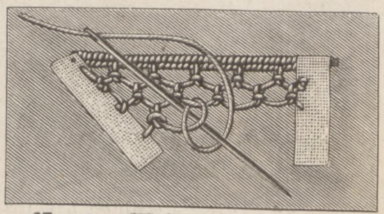
N. 7. Ubranie z długim paletocikiem. N. 8. Sukieneczka wycięta. N. 9. Sukieneczka z fartuszkiem tunikowym.



N. 10. Szarfa z ponsowego szwajcarskiego perkalu z wyszyciem krzyżykowem.



N. 11. Motyl wyszyty perełkami. Deseń na arkuszu Fig. 36.



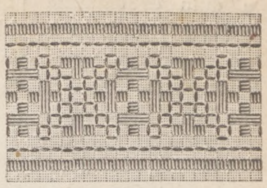
N. 12. Wykonanie ściegu koronkowego, do irlandzkiej koronki podanej na ark. z krojami.

N. 11. Motyl z perełek do przybrania kapeluszy. Deseń na Fig. 36.

Na deseniu wielkość perełek oznaczona jest dokładnie; mogą być dżetowe mieniące się kolorowo lub srebrzysto; kontury odznaczone są nitką złotą lub sznelą.

N. 13. Suknia letnia z bluzką.

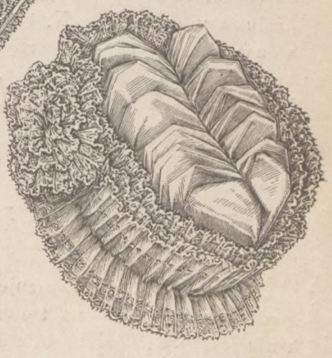
Suknia biała batystowa odpowiednia dla młodej osoby, przybrana jest plisowaniem 7 centym. szerokiem, haftowaną falbanką i wszywką 7 i 5 cent. szeroką. Przy kolorowym batyście użyć można koronek wywodzonych na tiulu. Tunika z przodu ułożona jest tak samo jak na ryc. 6 w N. 26 i ozdobiona wszywkami, z tyłu zaś ma tylko szeroki bryt prosty lekko podpięty. Baskina z przodu tworzy rodzaj panier zakończonego plisowaniem, bluzka z przodu i z tyłu ozdobiona ażurowo wszytemi wszywkami wykrój szyi otacza riusza z sutego plisowania, pasek plisowany jedwabny.



N. 2. Szlaczek ściegiem jednakowym na dwie strony.



N. 16. Chusteczka z irlandzkiej koronki. Deseń na arkuszu Nr IV, Fig. 33.



N. 4. Czapeczka batystowa dla chłopczyka. Patrz ryc. 44.

N. 14. Suknia z bluzką i paskiem.

Spódnicę z perkalu w drobniutkie paski zakończa

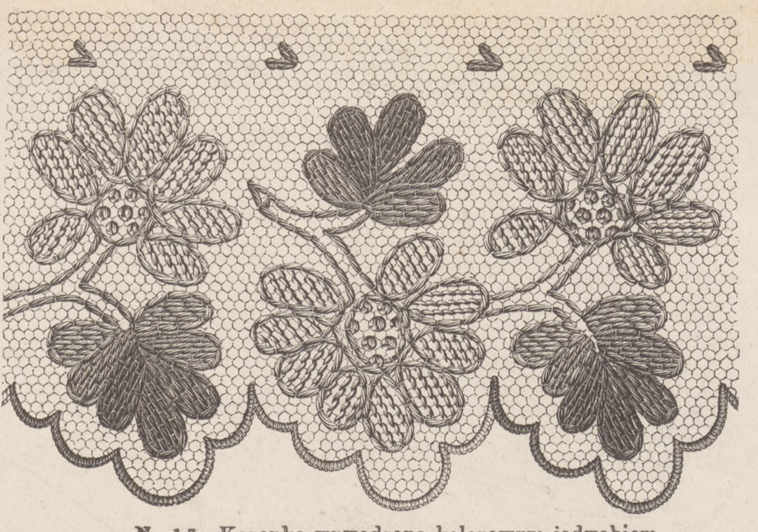


N. 13. Suknia letnia z bluzką.



N. 14. Suknia z bluzką i paskiem.

u dołu drobniutkie plisowanie, przysłonięte 18 cent. szeroką falbaną, układaną w kontrafałdy. Tunikę przykroić można podług ryc. 29 w N. 21, długość boczna po złożeniu fałdów skrócona jest do 75 cent. Z przodu środkiem i z boków fałdy przyczepione są niewidocznie do sukni. Strojne przybranie stanowi ażurowy haft angielski który środkiem tuniki liczy 22 cent. a przy dolnym brzegu 14. Bluzka zapięta niewidocznie odznacza się oryginalnem przybraniem. Kwadratowy wykrój szyi zapełniony jest przezroczystem plisowaniem i zapięty ozdobnemi szmuklerskiemi rozetami. Rękawy sięgające zaledwie za łokcie, odpowiednio do wykroju szyi otwarte są z wierzchu i przybrane tak samo jak bluzka. Pasek Medicis zręcznie obciskający bluzkę odrobiony jest z atłasu lub materyi.



N. 17. Koronka wywodzona kolorowym jedwabiem.



N. 15. Wywodzenie złotą nitką na czarnym tiulu.

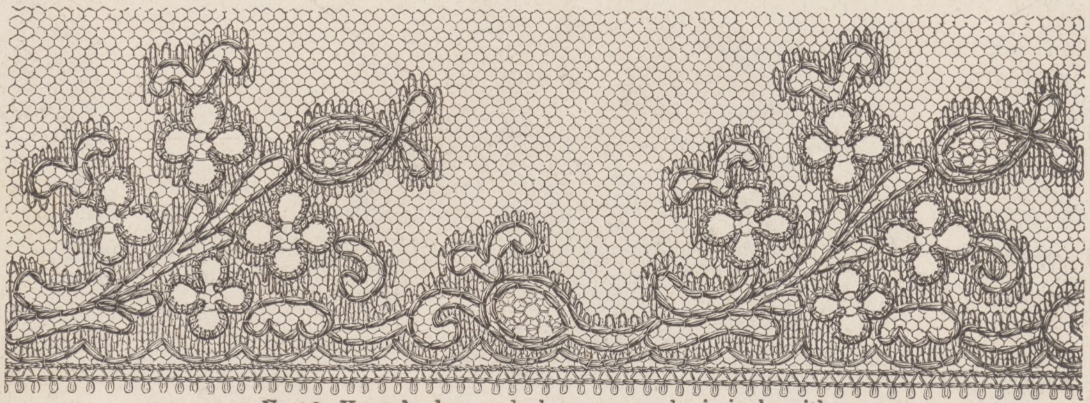


N. 16. Wywodzenie złotą nitką na czarnym tiulu.

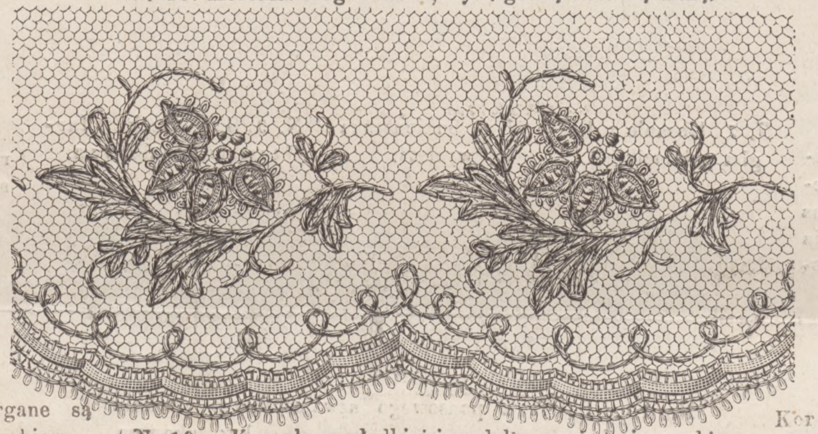
N. 15—19. Koronki i tła wywodzone na tiulu.

Rycina 15 i 16 wskazuje dwie próbki wywodzenia na tle czarnem tiulowem, nitką złotą lub kolorowym jedwabiem, które może być użyte na denka do kapeluszy, lecz w takim razie koronka którą kapelusz jest przybrany powinna być odpowiednio wywiedziona. Na ryc. 17 widzimy koronkę wywiedzioną filozelą kolorową dzieloną po dwie nitki, na tle z cienkiego brukselskiego tiulu. W ciągu deseniu prócz filozeli użyty jest jedwab niekręcony, różne ściegi w wywodzeniu odznaczone są dokładnie na ryc. 17; ząbki brzeżne wydziergane są cieniowanym jedwabiem.

Na ryc. 18 podaliśmy wzór koronki langwedockiej wywodzonej nitką cieńszą i grubszą. Deseń rysuje się na papierze i podfastrygowywa pod tiul, następnie wywodzi się kontury grubszą nitką a dziurki obrzuca; wywodzenie cienką nitką po za konturami tworzy cienie w deseniu.



N. 18. Koronka langwedocka, wyw. grubą i cienką nitką.



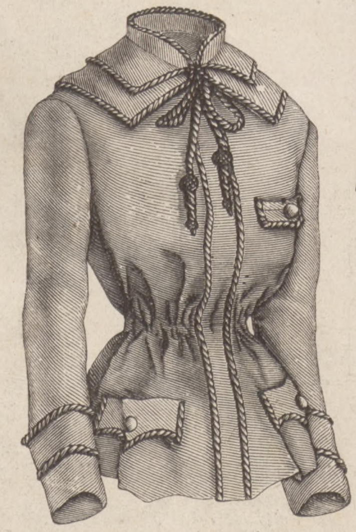
N. 19. Koronka z gładkiej i medaljonowej tasiemeczki



N. 20. Bluzka marszczona.

N. 20. Bluzka narzucana.

Odpowiednio do suto przemarszczanej draperyi na sukni stanik bluzkowy ma przody i plecy przemarszczane przy pasku i na ramionach. Fałdowany pasek zapięty jest z boku pod kokardą z wstążki.



N. 24. Bluzka do ubrania podróżnego z podwójnym kołnierzem. Krój na arkuszu Nr II, Fig. 6—16.

N. 23. Bluzka z długą baskiną dla młodej panienki.

Odpowiednia jest do sukni zakończonej u dołu plisowaną falbaną i uszyta z cienkiego kolorowego materyału bawełnianego, lub co wygląda bardzo elegancko z białego batystu. Przybranie stanowią wszywki tiulowe 2 cent. szerokie i koronka 5 i 7 cent. szeroka. Bluzkę przykroić można podług ryc. 24 w dzisiejszym N-rze, rękawy są taką formą jak do koszul nocnych, przymarszczone u ręki i wszyte w paseczek. Pasek spięty z boku kokardą.



N. 23. Bluzka z długą baskiną dla panienki. Krój jak do r. 24.

N. 24. Bluza z podwójnym kołnierzem do sukni podróżnej. Krój na arkuszu N. II, Fig. 6—13.

Podobne bluzy są niezmiernie rozpowszechnione w Austryi między wojskowemi a zacząwszy od Cesarza noszą je i najniżsi poddani gdyż są praktyczne i dogodne. Mod 1 przedstawia bluzę do negliżowego lub podróżnego ubrania, odrobioną z miękkiego materyału surah, kolorowego fularu i t. p. albo z tego co suknia materyału i oszytą sznurem jedwabnym; grubszy sznur jedwabny zakończony okuciem metalowym zastępuje krawat pod szyją. Krój podaliśmy na Fig. 6—13, części bluzki łączą się z sobą podług odpowiednich liter; kryte zapięcie dane za pomocą listewki podszytej od spodu, w której obrobione są dziurki. Bluzka w pasie przemarszczona jest na elastykę podwleczoną od spodu i może być noszona z paskiem lub bez paska, wykrój szyi wszyty w stojący kołnierzyk. Kieszonki przyszyte z wierzchu liczą 7 centym. długości.



N. 21. Stanik z plastronem.

N. 32—37 Bielizna na pościel.

Koronki i wyszycia niezmiernie są modne przy bieliźnie na pościel; używają koronek nicianych, z siatki gipiurowej, mocnych irlandzkich i t. p. Na ryc. 8 widzimy bardzo szeroką wszywkę siatkową wszytą między obręby oddzielone siatką gipiurową; na środku wyszyte rozety i cyfra. Prześcieradło oszyte szeroką koronką wyznaczone jest w nowy sposób gdyż na środku wyszyta wielka litera początkowa nazwiska rodzinnego a z boków cyfry z męża, przedzielone wyszyciem krzyżykowem, z brzegów zaś rozdzielony rok.

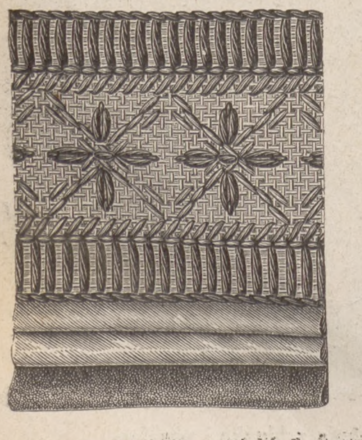
N. 38—41. Fartuszki ozdobione kratką ażurową.



N. 22. Stanik z wykładanym kołnierzem.

N. 38—39. Fartuszek ścięty w kliny.

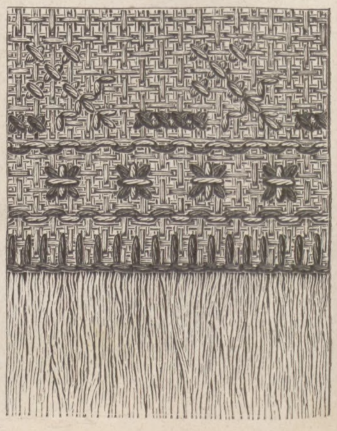
Odrobiony z alpagi czarnej i ozdobiony kratką ażurową z kanwy Aida koloru ecru i wy-



N. 26. Szlak i wypuśtki do ryciny 25.



N. 25. Woreczek ręczny z wyszyciem i siatką gipiurową. Patrz ryc. 26. Krój na arkuszu Nr VIII, Fig. 25.

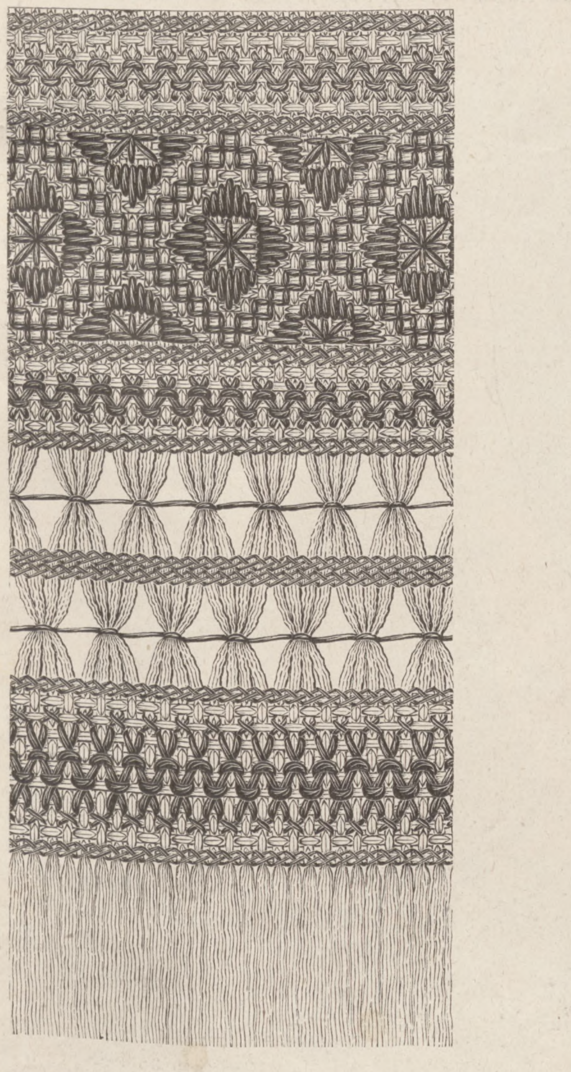


N. 27. Zakończenie do serwetki ryc. 4—6 w N-rze 27.

szyciem czarnym jedwabiem; także wyszycie i frendzla dana przy kieszonkach i na końcach szarf.

N. 40—41. Fartuszek włoski.

Długość fartuszka wynosi 105, szerokość 48 centym.



N. 39. Wyszycie i kratka ażurowa na kanwie Aida, do ryciny 38.

składa go bryt zupełnie prosty odłożony w wykład 36 cent. szeroki. Rycina 41 załącza w naturalnej wielkości szlak ażurowy z frendzlą wiązaną, wyszyty z brzegów poprzecznych. Na kratkę ażurową trzeba w odstępach 4 nitkowych wyciągać 3 poprzecznych nitek; podłużne nitki wyciągają się w odstępach 6 nitkowych również po 6 nitek; na szersze paski trzeba zostawić po 9 nitek poprzecznych Wywodzenie daje się nicią lub bawełną Nr 5.

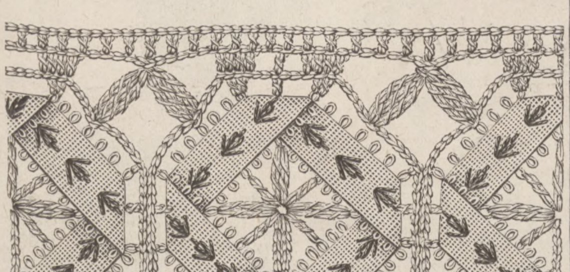


N. 38. Fartuszek ścięty w kliny. Szlak patrz ryc. 39.

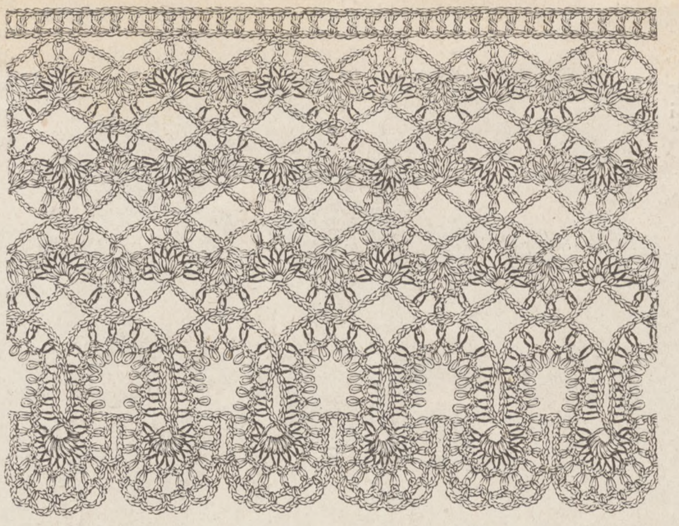
N 42. Poduszka

do kanapy. Wyszycie krzyżykowe na aksamicie.

Na tle z ciemno oliwkowego aksamitu wyszycie krzyżykowe ozdobione filozelą nie dzieloną, na podłożeniu kanwy. Rama brzeżna wyszyta czarnym kolorem z domieszaniem gdzie niegdzie niebieskiego; liście w narożnikach i przecinające boki w pośrodku są blado różowe bordeau. Środkowy haft zajmujący w kwadrat 39 cent. ma kontury odznaczone czarnym jedwabiem, środki liści zapełnione kolorami oliwkowym, bronzowym, bordeau, różowym i blado niebieskim do cieniu.



N. 29. Koronka szydełkowa z płaską tasiemeczką.



N. 28. Koronka szydełkowa z mignardise.



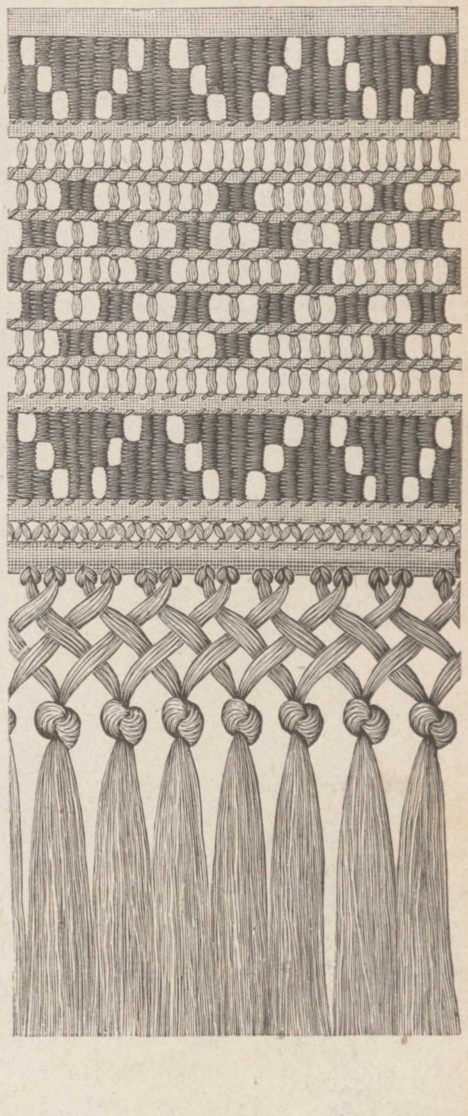
N. 31. Wyszycie do pantofla kąpielowego r. 33 w N. 27.



N. 32—37. Bielizna na pościel, ozdobiona koronką i wyszyciem krzyżykowem.



N. 42. Poduszka do kanapy, wyszyta ściegiem krzyżykowym na aksamicie.



N. 41. Kratka ażurowa i wywodzenie do ryc. 40.



N. 40. Fartuszek włoski. Szlak patrz ryc. 41.

N. 45. Chusteczka

koronkowa „Directoire." Wskazanie kroju na arkuszu Nr XIV, Fig. 31.

Chustka formą przedłużonego kwadratu złożona i odwinięta na trójkątną, zarzucona jest na ramiona skrzyżowana z boku i przypięta paskiem jedwabnym. Dla osoby starszej końce powinny być zebrane z przodu.

N. 46 Chusteczka

koronkowa „Mantyla." Wskazanie kroju na arkuszu Nr XIII, Fig 30.

Jest ona większą od chusteczki opisanej poprzednio i stanowić może okrycie zarzucone na ręce lub dla osób młodych końce krzyżują się z tyłu.



N. 30. Koronka szydełkowa z kolorową medaljonową tasiemeczką.

N. 49—50. Kapelusz pamela zdobny wielką kokardą,

Kapelusz z włoskiej słomki ma rondko od spodu podszyte kolorowym atłasem. Przybranie zwierzchnie stanowi wielka kokarda z wstążki atłasowej 9 cent. szerokiej, którą przedstawiamy na ryc. 49; między puklami wsunięte gałązki kwiatów.

N. 51. Pelerynka z koronki haftu na kanapie i frendzli.

Odrobiona jest bez żadnej podszewki z koronki żółtawej langwedockiej i kolorowego haftu na krepie, który zastąpić można kolorowem wywodzeniem na tiulu. Do paska 2 cent. szerokiego a 50 długiego przyszywa się nadmarszczona koronka 6 cent. szeroka a 72 długa, do brzegów której przyszyty jest pas haftu na krepie 7 cent. szeroki a 100 długi. Z drugiej strony haftu dana znów koronka podszyta pod brzeg zębów (1½ cent. długości) Zakończenie brzeżne stanowi frendzla z krepowanego jedwabiu z siatkowym nagłówkiem 10 c. szeroka, która wiąże się wprost przy koronce. Przy wykroju szyi dana suta riusza z koronki, spięta kokardą z wstążki atłasowej.

N. 52. Kołnierz forma naszyjnika (collier). Wyszycie perełkami na tiulu.

Związany z tyłu na aksamitkę, odrobiony jest szmelcowanemi perełkami na tle z cienkiego tiulu. Długość przednia wynosi 14 cent. z tyłu 12; wykrój szyi 42 a obwód dolny 92 cent. Frendzla perełkowa 5 cent. szeroka zakończa brzegi, w około szyi dana riusza tiulowa, brzegiem oszyta perełkami.



N. 43. Kapotka batystowa. Patrz ryc. 3. N. 44. Czapeczka batystowa. Patrz ryc. 4.



N. 46. Okrycie koronkowe „Mantilla.“ Wskazanie kroju na arkuszu Nr XIV, Fig. 30.

N. 48. Kapotka z cienkiej białej słomki zdobna riuszą z siekanej materyi koloru heljotropu i bratkami.



N. 45. Chusteczka koronkowa „Directoire.“ Wskazanie kroju na arkuszu Nr XIV, Fig. 31.

N. 47. Pamela z fantazyjnej słomki.



N. 49. Kokarda do kapelusza ryc. 50.



N. 50. Pamela z wielką kokardą. Patrz ryc. 49.
N. 51. Pelerynka z koronki haftu i frendzli.



N. 52. Kołnierz w kształcie naszyjnika wyszyty perełkami na tiulu.



N. 53. Modne uczesanie.